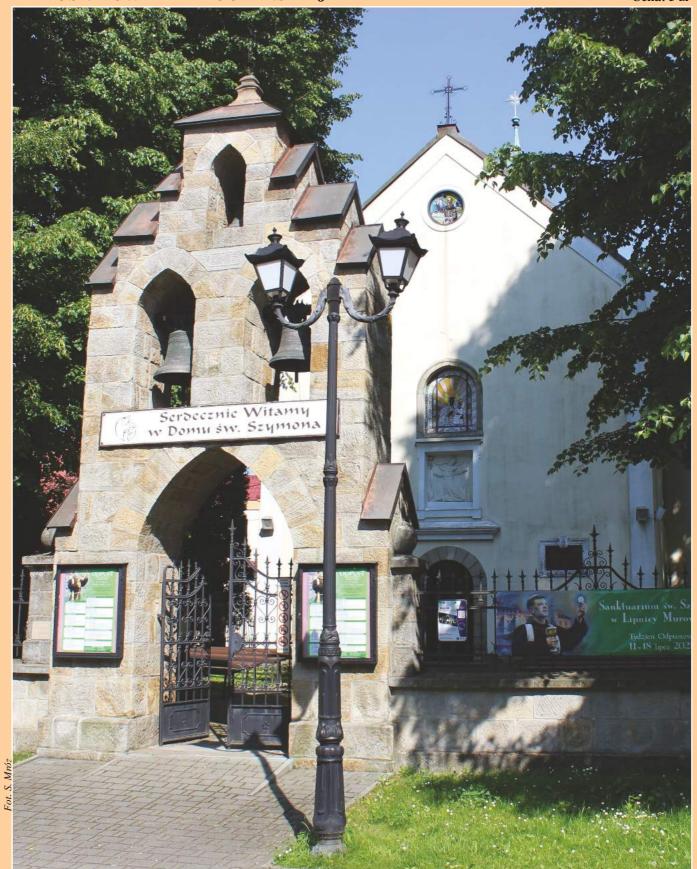
WIADOMOŚCI BOCHEŃSKIE



KWARTALNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY STOWARZYSZENIA BOCHNIAKÓW I MIŁOŚNIKÓW ZIEMI BOCHEŃSKIEJ ISSN 1426-195 ROK XXXIII nr 3 (129) Lato 2021 Cena: 5 zł



Jacek Nikorowicz (Kraków)

Święty Szymon z Lipnicy Murowanej Naszą nadzieją w ciężkich czasach pandemii



Wnętrze kościoła (sanktuarium) p.w. Św. Szymona w Lipnicy Murowanej. Ołtarz główny, bogato zdobiony wykonany w 1860 r. w stylu rokokowo-neogotyckim przez Jana Martyniaka mieści kopię XVII wiecznego obrazu wykonanego przez Jana Gottharda z Wilna, znajdującego sie obecnie w kościele bernardynów w Krakowie. Treścią obrazu jest wydarzenie uwieczniane wielokrotnie w malowidłach nazywanych później "Próbą posłuszeństwa", fot. S.Mróz





Powyżej, relikwiarz z relikwią św. Szymona znajdującą się w sanktuarium w Lipnicy Murowanej.

Z lewej: Motyw "Próby posłuszeństwa" powtarzany jest często na obrazkach dewocyjnych.

Z prawej: Postać siedzącego św. Szymona na obudowie studni zwanej "źródłem św. Szymona". Wg przekazów woda z tej studni pomaga w chorobach gardła i oczu, również w leczeniu niepłodności u kobiet.



Święty Szymon urodził się w Lipnicy Murowanej, 16 km od Bochni, w okresie pomiędzy 1438 a 1440 rokiem, w warownym mieście, które miało wtedy 26 cechów rzemieślniczych i dwa kościoły–oba czynne do naszych czasów. Trzeci kościół zbudowano w 1640 r. na cześć św. Szymona. Lipnica Murowana w XV w. była jednym z 16 miast na mapie Królestwa Polskiego o wielkim znaczeniu gospodarczym i militarnym.

W atmosferze wspomnień o zwycięstwie pod Grunwaldem w 1410 r., wzrastał Szymuś, słuchając opowieści uczestników bitwy, którzy często przejeżdżali przez Lipnicę i tam się zatrzymywali na odpoczynek i w celu uzupełnienia ekwipunku na dalszą drogę, najczęściej w kierunku Węgier. Była to trasa orszaków królewskich i kupieckich tak zwanym "Szlakiem Bursztynowym".

Młody chłopiec, Szymuś miał trzy zainteresowania: pomagał ojcu w piekarni, uczył się zdobywając wiedzę dzięki bardzo dobremu miejscowemu nauczycielowi oraz wsłuchiwał się we wspomnienia i opowieści przyjezdnych.

Odrębnym jego zamiłowaniem były częste spacery za obręb murów Lipnicy do drewnianego kościółka św. Leonarda. Tam, jak głoszą legendy, miał bezpośredni kontakt z Matką Bożą w modlitwach medytacyjnych.

Kiedy Szymon w roku 1454 wywędrował na nauki do Krakowa, znał już łacinę i był przygotowany do dalszej edukacji. Nasuwa się pytanie, jak to się stało, że skromnego piekarza było stać na edukację swego syna jedynaka w Krakowie?

Ja od wielu lat szukałem rozsądnej odpowiedzi na to pytanie. Dyskutowałem na ten temat z prof. Kirykiem, a w ostatnich latach z prof. Ziejką. Obaj poparli moją tezę; w Lipnicy był wielki ruch wynikający z przejazdów orszaków królewskich, dyplomatycznych, kupieckich oraz okazjonalnych, których uczestnikami byli przedstawiciele wielu stanów i narodowości, wśród nich byli ludzie o wybitnych indywidualnościach i możliwościach. W Lipnicy wypoczywali, nocowali, kupowali i modlili się w miejscowych kościołach. Na bardzo małym obszarze przebywali bardzo różni ludzie. Często ci sami, wielokrotnie goszcząc w Lipnicy, nawiązywali znajomości i obserwowali stałych mieszkańców. Nie było telewizji, gazet, radia, za to były gawędy i spotkania w rynku oraz w gospodach. Jest bardzo prawdopodobne, że jakiś ważny, bogaty, a zarazem wrażliwy człowiek zaobserwował młodego chłopca, mądrego, pracowitego, zdolnego, znającego łacinę. Poznał jego rodziców i ustalili, że szkoda, aby taki "brylancik" skończył karierę w piekarni swego ojca. Podjął ten dobrodziej decyzję, że pośle Szymona na nauki do Krakowa i zaopiekuje się jego dalszymi losami. Znając historyczne uwarunkowania, mamy prawo sądzić, że tak mogło być.

Bardzo szybko okazało się, że jednym z czynników zdobytych umiejętności Szymona, czyli znajomość łaciny, jest podstawowym elementem jego dostępu do prawdziwej wiedzy. Przykładem było jego uczestnictwo w słuchaniu od września 1453 r. wystąpień, po łacinie, w rynku głównym w Krakowie, znanego w Europie, Włocha, Jana Kapistrana, franciszkanina—obserwanta.

Wielu słuchaczy musiało wierzyć w to, co tłumaczył na język polski, średnio rozgarnięty mnich. Szymon natomiast rozumiał wystąpienia Jana Kapistrana bez pośrednictwa tłumacza. Potem, podczas studiów, Szymon był dociekliwy i zapoznał się z tłumaczeniami tych wystąpień, dokonanymi przez

Stanisława z Kobylina, prawdziwego fachowca w tej materii, wykładowcy prawa kanonicznego.

Należy wspomnieć, że przed wstąpieniem do Akademii Krakowskiej, Szymon dla lepszego przygotowania się do studiów pobierał nauki w szkole przy kościele Mariackim.

W 1454 r., za skromną opłatą został studentem Akademii Krakowskiej. Studia skończył w terminie i uzyskał tytuł bakalarza sztuk. Proponowano mu pozostanie na uczelni, ale on zamiast oddać się pracy naukowo – pedagogicznej, wstąpił do nowopowstałego klasztoru franciszkanów Obserwantów na Stradomiu pod Wawelem. Zakonników tych zwano Bernardynami. Tam wyróżniał się gorliwością we wszystkich dziedzinach, ale jego wrażliwość na biedę, nędzę i wszelkie dolegliwości ludu, była wyjątkowa. Biednych karmił, odziewał, pocieszał strapionych, chorych leczył, pokazywał ludowi Boga i Jego Miłość do maluczkich. Szymon miał jakieś nadprzyrodzone siły – ludzie domagali się, aby ich dotykał i błogosławił. To denerwowało innych zakonników bo ciągle się upominano, aby Szymon przychodził na furtę. Przy furcie klasztornej gromadzili się biedni, licząc na pomoc i wsparcie klasztoru.

W roku 1465 Szymon – prezbiter został powołany na urząd gwardiana bernardynów w Tarnowie.

Po powrocie do Krakowa w 1467 r., jak ujawniają kroniki klasztorne, był komisarzem prowincjonalnym, co nakładało na niego obowiązek wizytowania wybranych klasztorów.

Innym ważnym obowiązkiem Szymona, było wygłaszanie kazań ponieważ został na wiele lat, kaznodzieją z urzędu. Dostąpił zaszczytu funkcji kaznodzieji katedralnego. Jak przypuszczał Kantak¹, zastąpił na tym stanowisku słynnego dominikanina Latova², który zmarł w 1463 roku. To było ogromne wyróżnienie, że dominikanina zastąpiono bernardynem.

Przypuszcza się, że Szymon był spowiednikiem króla Kazimiera Jagiellończyka. Jednocześnie nie jest udokumentowana teza, że był wychowawcą dzieci królewskich. Natomiast źródła potwierdzają, obecność Szymona w Akwilei, w 1472 roku na uroczystości przeniesienia ciała św. Bernardyna z Sieny³. W tym czasie odbywała się kapituła generalna Braci Mniejszych w Akwilei.

W 1474 r. Szymon został wybrany na dyskreta kapituły generalnej obserwantów w Pawii⁴. Po tej kapitule Szymon nie od razu wrócił do Polski, lecz wraz z ojcem Chryzostomem z Ponieca udał się do Rzymu, a następnie na pielgrzymkę do Ziemi Świętej.

Pobyt w Ziemi Świętej pogłębił jego wiarę i żarliwe oddanie Matce Bożej i Jezusowi.

Do Krakowa wrócił w 1479 roku. Szereg innych funkcji, będących jednocześnie zaszczytami, pozwala stwierdzić, że był sługą bożym o wybitnych zdolnościach, posiadającym wyjątkowy charakter. Już za życia czynił cuda.

W 1482 r. Kraków opanowała zaraza. Dwór wawelski opustoszał. Na ulicach leżały dziesiątki trupów. Epidemia szalała. Szymon nie mógł patrzeć na straszliwie cierpiących, umierających ludzi. Poprosił współbraci, aby pomogli mu podawać picie konającym, a sam przez kilkanaście dni udzielał konającym sakramentów, przywracając im godność. Niestety ich rodziny, sąsiedzi i bliscy zawiedli, prawdopodobnie ze strachu o siebie.

Szymona ostrzegano, że na pewno zarazi się i umrze. Jego miłość do bliżniego, wynikająca z miłości do Boga, spowodowała ogromną gorliwość w posługiwaniu chorym i umierającym.

Jego klasztor również opanowała zaraza. Zmarło 25 ber-

nardynów, ale śmierć Szymona w czwartek 18 lipca 1482 r. przed południem, stała się wielkim wydarzeniem w uciemiężonym zarazą Krakowie.

Wierni licznie przybyli, by modlić się do, ich zdaniem już Świętego Szymona. Wiemy jak to działa, pamiętając śmierć Jana Pawła II.

Ostatnie chwile życia Szymona, były wielką lekcją dla jego braci. Napomnienia, prośby (np. o pochowanie Go pod progiem wejścia do świątyni oraz wskazówka "Ora, labora, despera" (módl się, pracuj i nie trać nadziei) – były jego testamentem.

Krakowianie oddawali się pod opiekę Szymona i dokumentowali wyproszone łaski.

Powszechna opinia o świętości Szymona spowodowała, że 32 lata po jego śmierci, rozpoczęto starania o Jego beatyfikację.

Jednak dopiero król Zygmunt III skierował, jak się okazało, skuteczny list postulacyjny do papieża Pawła V (było

to w roku 1609), a w roku 1616 przeprowadzono diecezjalny proces o świętości życia i cudach.

W latach 1637-1642 przeprowadzono drugi proces diecezjalny, niestety został zawieszony w wyniku skomplikowanej sytuacji polityczno-wojennej w Polsce. Dopiero 24 lutego 1685 roku papież Innocenty XI wydał dekret beatyfikacyjny.

Od 17 stycznia 1689 r. zezwolono duchowieństwu diecezjalnemu i zakonnemu w Polsce na odmawianie brewiarza o bł. Szymonie. Papież Klemens XII rozszerzył uprawnienia kultu na wszystkie zakony franciszkańskie na świecie.

Starania o kanonizację rozpoczęto w roku 1776. Warto odnotować fakt odnowienia kaplicy z sarkofagiem bł. Szymona – opiekuna Krakowa, a konsekracja ołtarza miała miejsce 18 lipca 1945 r. po czym procesję z jego relikwiami prowadził na Wawel kardynał Adam Stefan Sapieha w asyście tysięcy wiernych. Ilość zgłaszanych świadectw o uzyskanych łaskach była imponująca.

Trzeba z naciskiem podkreślić, że od chwili śmierci w 1482 r., cały czas trwa nieprzerwanie jeden ciąg łask uzyskanych za przyczyną bł. Szymona z Lipnicy Murowanej.

Ojciec Święty Jan Paweł II zapytany, co stoi na przeszkodzie, aby oficjalnie ogłosić świętym bł. Szymona z Lipnicy, odpowiedział, że nic, bo on jest cały czas świętym, a w stosownym momencie formalności zostaną załatwione.

Tak! Faktycznie, w ogromnej ilości kościołów i kaplic, od setek lat jego wizerunki - obrazy i figury są podpisane "Święty Szymon". Nikomu do głowy nie przyszło przez te setki lat kwestionować taki podpis. Faktycznie to przedziwny Święty skutecznie funkcjonujący do dziś.

Kiedy w 2005 r. skończyłem książkę o Szymonie "Obrońca godności człowieka", bez wahania napisałem takie zdanie "Gdy Błogosławiony Szymon zostanie ogłoszony światu Świętym, będzie zainteresowanie tekstami Jego dotyczącymi..." Byłem wtedy przekonany, że lada moment



Motyw "Próby posłuszeństwa"B. Simon de Lipnica Cracoviensis Thaumaturgus Ao. D. 1482, Akwaforta, miedzioryt, 23,2 x 17,9 cm, źródło: Biblioteka Narodowa

papież Benedykt XVI podejmie ostateczną decyzję. Tak się też stało. Gdy delegacja hierarchów watykańskich przedstawiła mu dokumenty i rozpoczęto referowanie sprawy, Papież przerwał im i powiedział, że całą sprawę zna bardzo dokładnie z ust Jana Pawła II, a nawet był osobiście u grobu pod Wawelem i miał okazję skutecznie pomodlić się do Boga, za Jego pośrednictwem. Polecił niezwłocznie doprowadzić do zakończenia formalności kanonizacyjnych.

Parę miesięcy przed kanonizacją rozpoczął się w moim życiu maraton aktywności na rzecz przygotowania do tej uroczystości. Objechałem wraz z żoną Barbarą dziesiątki parafii zainteresowanych postacią św. Szymona. W wielu wypadkach słuchacze moich wykładów byli bardzo dobrze zorientowami w historii Świętego. Podczas dyskusji na zakończenie wykładów, otwierali się i opowiadali swoje osobiste przeżycia. Potwierdzali skuteczność działania bł. Szymona w wypraszaniu u Pana Boga łask. W niektórych wypadkach były to cuda, które potwierdzone pojedynczo, wystarczyłyby

do uzyskania tytułu Świętego, dla tego Orędownika.

Byli też ludzie, którzy pierwszy raz słyszeli o bł. Szymonie z Lipnicy Murowanej. Oni z niedowierzaniem zadawali pytania tym, którzy doznali łaski cudu. Problem skuteczności bł. Szymona był określony na jednej płaszczyźnie, czyli jeżeli wierzysz w Boga z dziecięcą ufnością, bez zastrzeżeń i z ogromnym zaufaniem w Jego moc, masz prawo prosić go o wszystko, jeśli taka będzie Jego wola, to otrzymasz łaski za pośrednictwem św. Szymona.

W trakcie tych naszych wędrówek, przybliżających postać bł. Szymona, bernardyni oraz księża, z którymi spotykaliśmy się, rozpowszechniali naszą działalność, co skutkowało wieloma artykułami w gazetach oraz wywiadami w stacjach radiowych i telewizyjnych.

Był nawet taki incydent, że włoscy dziennikarze nazwali mnie rzecznikiem prasowym Świętego Szymona. Ostatecznie na podstawie moich scenariuszy nakręcono kilka filmów. Musiałem wtedy odpowiedzieć na fundamentalne pytanie: skąd, tak aktywnie znalazłem się w tym wszystkim? Odpowiem: przeczytajcie moją książkę "Obrońca godności człowieka – moje 40 lat z Błogosławionym Szymonem z Lipnicy Murowanej".

W końcu to wszystko co robiłem, to było moje podziękowanie Świętemu Szymonowi za trzykrotne uratowanie życia.

Gdybym chciał wszystko opisać, co wydarzyło się w tym czasie, powstałaby gruba książka. Mnie wystarczy dokumentacja archiwalna, setki zdjęć, nakręconych filmów i wywiadów oraz podziękowań od tych, którzy też mieli za co dziękować Bogu.

Myślę, że wszystko ma swój czas. Faktycznie 3 czerwca 2007 r. to był ten dzień, w którym bardzo sugestywnie papież Benedykt XVI ogłosił światu nowego – starego Świętego Szymona właśnie na obecne czasy.

Nikt wtedy nie przypuszczał, że ten Święty, który walczył z zarazą pierwszy raz w 1473 r. w Krakowie po ogromnych

suszach, a drugi raz w 1482 r. oddając życie, będzie walczył z zarazą po raz trzeci, w latach pandemii 2020/2021.

Przecież nikt przytomny nie zaprzeczy, że jeśli człowiek mówi, że był na krawędzi śmierci covidowej, a on i jego bliscy modlili się do Boga za przyczyną św. Szymona i wymodlili jego powrót do zdrowia – to jest cud.

Warto przypomnieć, że przez cały 2006 r. św. Szymon był na ustach katolików w Polsce, a na świecie gdzieniegdzie. Interesowano się przede wszystkim faktem odkrycia na nowo zakonnika z XV w. W Krakowie, w tym czasie żyło i pracowało kilku wyjątkowych ludzi, poźniejszych świętych. Dlatego duże zainteresowanie tematem wykazywali dziennikarze, historycy i media.

Strona kościelna nie była tak aktywna, bo okazało się, że jest niewielu księży, którzy mają wiedzę na temat św. Szymona.

Wracano do starych opracowań książkowych i archiwaliów. Głównym miejscem skutecznych poszukiwań był kościół bernardynów w Krakowie pod Wawelem. Przeprowadzono inwentaryzację doczesnych szczątków św. Szymona, gdyż był to obowiązek wynikający z procedur kanonizacyjnych.

W trakcie tej czynności pozyskano relikwie pierwszego stopnia, dla możliwości szerzenia kultu.

Umieszczono je w kaplicy św. Szymona, uzupełniając już posiadane. Na szczególną uwagę zasługuje przepiękny bardzo stary relikwiarz z głową św. Szymona. Uzupełnienie stanowi autentyczny płaszcz zakonny św. Szymona. Jednocześnie wyeksponowano skrzyneczkę ze sznurem św. Szymona oraz teksty, które własnoręcznie przepisywał. W wielu sytuacjach wyżej wspomnianych miałem okazje uczestniczyć. To wielkie przeżycie, kiedy widzi się otwieranie sarkofagu i spogląda się na szczątki Świętego z XV w.

Ojciec Święty podczas uroczystości kanonizacyjnych w Rzymie otrzymał relikwe św. Szymona.

Papież Benedykt XVI wzruszony powiedział wtedy "Nowy Święty – Szymon z Lipnicy, wielki syn ziemi polskiej i świadek Chrystusa o duchowości św. Franciszka z Asyżu, żył w odległych czasach, ale właśnie dziś jest dany Kościołowi, jako aktualny wzór chrześcijanina, który zainspirowany duchem Ewangelii, jak też przepełniony miłosierną miłością, którą czerpał z Euchary-

stii, nie ociągał się z niesieniem pomocy chorym dotkniętym zarazą, która i jego doprowadziła do śmierci. Dziś w sposób szczególny zawierzamy jego opiece tych, którzy cierpią z powodu ubóstwa, choroby, osamotnienia i niesprawiedliwości społecznej. Przez jego wstwiennictwo prosimy dla nas o łaskę wytrwałej, czynnej miłości do Chrystusa i do braci."

Cała piękna uroczystość została "popsuta" ulewnym deszczem. Jak opowiadał mi kardynał Franciszek Macharski,



Kult świętego Szymona uwieczniony został w 1913 r. formą pamięci wyrażoną pomnikiem wzniesionym w Rynku. Był to, jak zapisano w akcie erekcyjnym: "...wynik religijności i narodowych pragnień, by na rynku lipnickim wznieść kamienny pomnik Błogosławionemu Szymonowi, Patronowi Królestwa Polskiego." Zaś na postumencie pomnika umieszczono napis: "Bogu i Ojczyźnie na chwałę, Potomnym na wzór i otuchę, Świętemu Ziomkowi Lipniczanie, 18 VII 1913" fot. S.Mróz

wszyscy byli bardzo przemoczeni. On sam oddał się opiece św. Szymona z prośbą, aby nie zachorował. Przemoczeni Polacy zgromadzeni na uroczystości czuli wielką dumę, radość i satysfakcję, że po setkach lat ich rodak wreszcie oficjalnie został ogłoszony świętym.

2 czerwca przed kanonizacją, zadzwonił do mnie wieczorem szef Redakcji Katolickiej Telewizji Polskiej i powiedział "Panie Jacku, wiem, że będzie Pan głównym animatorem uroczystości w kościele bernardynów w Krakowie – zaczynacie zaraz po zakończeniu transmisji z Watykanu. Bardzo Pana proszę, aby Pan dokładnie oglądał cały przebieg uroczystości kanonizacyjnych. Życzę powodzenia w uroczystościach w Krakowie"

Jakie było moje zaskoczenie, gdy w czasie udzielania komunii św. na Placu św. Piotra, zobaczyłem na ekranie telewizora siebie, wygłaszającego przemówienie, bedące przybliżeniem "w pigułce" postaci św. Szymona, nowego dla świata, polskiego świętego. Trwało to kilka minut.

To przemówienie zostało wybrane z wielu moich wystąpień telewizyjnych. Nie pamiętałem, aby kiedykolwiek w tych okolicznościach, głos zabierał człowiek świecki. Jak potem okazało się, wystąpienie to było tłumaczone dla 140 krajów świata, gdyż tyle państw transmitowało przebieg kanonizacji św. Szymona. Przypomniał mi się wtedy moment, kiedy trzy lata wcześniej powiedziałem św. Szymonowi, biorąc z kaplicy wiele jego obrazków "Ja Cię Szymonie bardzo mocno rozpropaguję" - I stało się!

Parę minut po wypowiedzeniu tych słów, wjechał w moje auto tramwaj. Zostałem cudownie uratowany.

Uroczystości w Krakowie, w kościele bernardynów przebiegły wspaniale. Poznałem wtedy ojca Jonasza Podsiadłę. Wcześniej, nie mieliśmy okazji współpracować. On i ja nie pojechaliśmy do Rzymu. Naszym zadaniem było przeprowadzenie skromnej, ale bardzo oryginalnej i ważnej dla wiernych Krakowa, uroczystości. Wszyscy, którzy brali w niej udział, byli bardzo przejęci i wzruszeni. Kościól był naprawdę wypełniony wiernymi nie tylko z Krakowa. Muszę tu wspomnieć wspaniały chór "Canticum Novum", pod kierownictwem pani Elżbiety Ptak. Chórzyści wystąpili w pięknych średniowiecznych, dworskich strojach. Szymon spoglądając na

nich z góry, był na pewno dumny.

W tamtym czasie napływały do mnie informacje o kolejnych łaskach, jakie otrzymywali wierni za pośrednictwem św. Szymona z Lipnicy. Utkwiła mi w pamięci wiadomość od włoskiej ekipy telewizyjnej, że ich koleżanka, która wiele lat starała się o dziecko, jest w stanie błogosławionym i kategorycznie łączy ten fakt z wstawiennictwem do Boga św. Szymona.

Pewna pani profesor z Uniwersytetu Jagiellońskiego, na spotkaniu, poświęconym św. Szymonowi, jednemu z najstarszych absolwentów tej uczelni, opowiedziała o uzdrowieniu w jej najbliższej rodzinie, mieszkającej w Warszawie, maleńkiego chłopczyka. Bardzo stanowczo stwierdziła, że zdaje sobie sprawę z tego, że jako naukowiec – fizyk, naraża się na różne komentarze, ale z faktami się nie dyskutuje. Lekarze orzekli, że tylko cud uratował to dziecko.

Małgorzata Kożuchowska prowadząca wtedy w TVP program "My, wy, oni", w rozmowie z nami nie mogła wyjść z podziwu, ile odbiera telefonów z całej Polski, z relacjami o przeżyciach związanych z wpływem św. Szymona na losy ludzkie. Było to niedługo po emisji programu na żywo, w którym ja i moja żona Barbara przedstawialiśmy postać św. Szymona nie unikajac wątków osobistych.

Krakowskie duchowieństwo było zdziwione, że wierni zaczęli się "otwierać", twierdząc nawet, że "cudze chwalicie, swego nie znacie", podkreślając, że nie trzeba jeździć po świecie, oczekując doznania cudownych łask – wystarczy przyjść na Bernardyńską 2 w Krakowie i z pełną ufnością porozmawiać ze swoim pośrednikiem w modlitwie – św. Szymonem z Lipnicy Murowanej.

Faktycznie wśród katolików polskich nastapiła refleksja na temat skuteczności wstawiennictwa św. Szymona. Przytoczę jedno z wielu wydarzeń, kiedy zostałem zmuszony do wielkiej aktywności, podczas pobytu w Radawie w Ośrodku Ojca Pio. Zostałem rozpoznany z wystąpień telewizyjnych i duża grupa uczestników turnusu, poprosiła mnie o dokładne przybliżenie postaci św. Szymona . Zbieg okoliczności zrządził, że w bagażniku auta miałem kilka egzemplarzy mojej książki i filmy o św. Szymonie.

Wiele razy doszło do bardzo interesujących spotkań. Całość wydarzenia mogłaby być scenariuszem do filmu. Doszło nawet do tego, że jeden z uczestników tych spotkań wznowił nakład mojej książki. Lata mijają, a ja ciągle jestem proszony o opowiadanie o św. Szymonie.

Parę tygodni po wybuchu pandemii, dzwoniło do mnie wiele osób, z którymi miałem bliższy i dalszy kontakt, opowiadając, że gorąco modlą się do Boga za wstawiennictwem św. Szymona, aby oni i ich bliscy uniknęli tego nieszczęścia. Ale byli też tacy, którzy chcieli mi opowiedzieć, że doznali opieki św. Szymona w tych tragicznych chwilach pandemii. W rozmowach przypominaliśmy sobie, że Kraków był miejscem wielu zaraz, które opisał już Jan Długosz i tak; Polska i Kraków dżumą, cholerą i innymi zarazami, zwanymi morowym powietrzem lub morem, w latach 1003, 1006 następnie 1186, 1312-1315 oraz 1317 – 1319.W latach 1241-1242 po najeździe Tatarów, przywleczono do Krakowa trąd, a w 1348 r. azjatycką dżumę, która spustoszyła Europę, szacuje się, że zabiła połowę populacji europejskiej tj. ponad 22 mln istnień ludzkich.

W 1359 r. czarna śmierć "podeszła" pod Kraków i dziesiątkowała ludność przez kilka lat.

W 1481 r. św. Szymon zbierał z ulic Krakowa porzucone zwłoki i starał się o ich godny pochówek.

Ale najbardziej przykro było patrzeć jak bliscy, w brutalny sposób pozbywali się dogorywających członków swoich rodzin. Strach i panika odbierały rozum. W czasie tej zarazy pojawiły się pierwsze wzmianki o skutecznej interwencji św. Szymona i o nadzwyczajnych przypadkach uzdrowień.

W latach 1544-1547 Kraków stracił, w trakcie moru, około 13 tysięcy osób, to była połowa mieszkańców miasta. Aby przypomnieć dramat epidemii, warto wspomnieć wyjazd całego dworu królewskiego oraz rady miejskiej poza miasto. Wtedy wyznaczano paru rajców i tak zwanego "burmistrza powietrznego", którzy mieli podejmować działania dla ratowania sytuacji. Zawsze starano się zabezpieczać zaopatrzenie w żywność i opiekę duszpasterską.

Opis procedur jakie wówczas były stosowane jest tak przerażający, że nie będę go przytaczał.

Ostatnia zaraza–hiszpanka pojawiła się pod koniec I wojny światowej i pochłonęła miliony ofiar. Wtedy w Krakowie było przyjęte pielgrzymowanie do grobu św. Szymona. Szacuje się, że w tym czasie zmarło 20 % ludności Krakowa.

Warto sobie uświadomić, że mając do dyspozycji ogromne środki przeciwdziałające pandemii, ciągle jeszcze przegrywamy. Dzisiaj, nikt z nas nie powie, że nie zna nikogo, ktoby zmarł na Covid, a koło siebie mamy wielu chorych i cierpiących.

Ciągle przegrywamy, ale nie tracimy nadziei.

Święta Wielkanocne 2021 roku, to drugie Święta Zmartwychwstania Pańskiego, w takcie których wierni mieli ograniczony dostęp do kaplicy św. Szymona w kościele bernardynów w Krakowie. Ale na to też znalazł się sposób.

Kaplica z przepięknym witrażem, znajduje się w odległości kilku metrów od wygodnego chodnika od ul. Bernardyńskiej. To miejsce, przy którym znajduje się studnia św. Szymona stało się celem spacerów modlitewnych wielu, szukających ratunku u św. Szymona. Nie wszyscy zdawali sobie sprawę, że św. Szymon działa wszędzie i zawsze z wielką skutecznością, jeżeli taka jest wola Boża.

Przypisy:

- ¹ Kantak Kamil (1881 -1976) ksiądz katolicki, historyk Kościoła i publicysta. Autor kilkutomowego dzieła *Franciszkanie polscy* T. 1 1237 1517
- ² Hagiografia polska. Słownik biograficzny, red. ks. B. Walczak, T. II, Poznań -Warszawa-Lublin Romuald Gustaw OFM, Św. Szymon z Lipnicy.
- ³ Św. Bernardyn ze Sieny (1380 1444) charyzmatyczny kaznodzieja, reformator zakonu franciszkanskiego. Reforma ta zwana ruchem obserwanckim miała na celu powrót do dawnej surowości reguły klasztoru św. Franciszka. Ten nowy zakon wyodrębniony z franciszkańskiego zwanego początkowo obserwantami, później od imienia reformatora bernardynami, do Krakowa sprowadził w 1453 r. uczeń św. Bernarda–Jan Kapistran. Św. Bernardyn zmarł we Włoszech 20 maja 1444 r. w małej miejscowości San Silvestro. Kanonizowany został w 1450 r. W 1463 r. doczesne szczątki św. Bernardyna zostały przeniesione do kościoła jego imienia w Akwila i tam spoczywają do dziś.
- ⁴ Szymon z Lipnicy dwukrotnie uczestniczył w kapitule generalnej zakonu Braci Mniejszych (obserwantów) jako oficjalny reprezentant prowincji polskiej: w 1472 w Akwilei, w 1474 w Pawii. W Pawii, oprócz Szymona było też dwóch innych reprezentantów; ojciec Jeziorek i wikariusz prowincji polskiej O. Jan Chryzostom z Ponieca (zm.1478). Szymon reprezentował także krakowskie zgromadzenie na kapitule prowincji polskiej w 1476 r. W 1482 r. znów miał reprezentować zgromadzenie krakowskie na kapitule prowincji polskiej w Kole nad Wartą, ale już nie zdążył wypełnić tego zadania.

Janina Kęsek

"Majówka" na Uzborni

W godzinach wieczornych, a może w nocy z 9 na 10 maja b.r. nieznani sprawcy zdewastowali i sprofanowali, na Uzborni,

figure Matki Bożej Niepokalanie Poczętej.

Figura Matki Bożej powstała ok. 1880 r. z fundacji wotywnej Marii Maissowej, żony ówczesnego adwokata i radnego, Ferdynanda Maissa1.

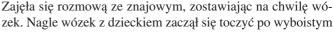
Jest typowym wyobrażeniem Matki Bożej Niepokalanie Poczętej. Figura wykonana jest w gipsowym kamieniu. Stoi na postumencie imitującym skałę. Na postumencie umieszczona jest tabliczka z zawołaniem: O Maryjo bez grzechu poczęta, módl się za nami. Figurę okrywa blaszany daszek.

Trudno ustalić kto ją wykonał, ponieważ nie jest sygnowana. Nie można wykluczyć autorstwa Wojciecha Samka, ale on dopiero w połowie lat 80-tych XIX w. zaczynał swoją działalność w Bochni jako artysta rzeźbiarz².

Kapliczka umieszczona jest w niedużym jarze, wcinającym się w północny stok Uzborni, dawnym kamieniołomie gipsu.

Interesujaca jest historia powstania tej kapliczki.

Państwo Maissowie mieli kilkoro dzieci. Któraś z córek, jako niemowlę, miała niebezpieczną przygodę, która mogła zakończyć się jej śmiercią. Pewnego pogodnego dnia, niania woziła dziecko we wózku alejką biegnącą grzbietem Uzborni.



stoku Uzborni, z każdą chwilą nabierając prędkości. Niania biegła za wózkiem i widziała jak dziecko w beciku wypadło z wózka i odbijając się od kamieni i wystających korzeni, toczyło się w dół. Wózek i dziecko spadły do kamieniołomu gipsu i tam dopadła je niania. Roztrzęsiona obejrzała powierzchownie dziecko i wydawało się jej, że nic złego się nie stało. Pobiegła natychmiast do domu i opowiedziała o wszystkim rodzicom dziecka. Prosiła, by wezwali lekarza, by zbadał dziewczynkę, a ten potwierdził, że dziecko jest całe i zdrowe.

Pani Maissowa, chcąc wyrazić Matce Bożej wdzięczność za uratowanie dziecka ze śmiertelnego niebezpieczeństwa ufundowała kapliczkę, ustawioną w miejscu, gdzie spadł wózek i dziecko³.

Od samego początku, przez blisko 140 lat, kapliczka ta przyciągała mieszkańców miasta, szczególnie najbliżsych sąsiadów, którzy schodzili się tu na nabożeństwa majowe i różańcowe. Dbali o kapliczkę. Zawsze u stóp Maryi były świeże kwiaty. Dla wygody wiernych w jarze wokół kapliczki

ustawione były drewniane ławeczki.

Ta figura Matki Bożej Niepokalanie Poczętej, przetrwała bez uszczerbku lata I wojny światowej, potem lata okupacji niemieckiej. Uszanowali ją nawet ateistyczni żołnierze Armii



Fot. J. Paprota







Uzborni, fot. J. Paprota

Figura Matki Bożej Niepokalanie Poczętej na Rozbita, sprofanowana figura MBNP na Uzborni, obok pusty postument z tabliczką z zawołaniem: "O Maryjo bez grzechu poczęta, módl się za nami", fot. M.Rudnik

Czerwonej. A jednak, wydawałoby się w spokojnych czasach, dwukrotnie stała się celem ataku nieznanych sprawców. Dlaczego? Po raz pierwszy zdewastowana była w 1957 r.

Przeglądając, przed wielu laty, archiwum parafii św. Mikołaja, trafiłam na informację o tym wydarzeniu.

"(...) Jednym z dzikich przejawów antyreligijnych nastrojów, w niektórych kołach bocheńskich, było barbarzyńskie zniszczenie przez niewykrytych sprawców figury Matki Bożej na północnym stoku Uzborni, tuż obok miejsca, na którym Niemcy w czasie okupacji roztrzelali kilkunastu (sic!) niewinnych ludzi.

Staraniem proboszcza odrestaurowano tę zniszczoną figurę i w dniu 5 maja, po południu, na zakończenie Roku Matki Boskiej, odbyła się uroczysta procesja ekspia-

cyjna pod uzborniański lasek, do miejsca, na którym dokonała się profanacja. W procesji wzięły udział tłumy ludzi. W otoczeniu sztandarów, przy śpiewie pieśni poświęconych Matce Najświętszej niesiono Jej odnowioną figurę i ustawiono ją na przygotowanym kamiennym postumencie. Przy figurze odbyło się uroczyste nabożeństwo z okolicznościowym kazaniem."⁴

Jeden z mieszkańców Bochni, uczestnik wspomnianej procesji i nabożeństwa, pamięta że przybyły na tę uroczystosć tysiące wiernych z Bochni oraz bliższych i dalszych stron. Ówczesny proboszcz parafii św. Mikołaja ks. Michał Blecharczyk, późniejszy biskup tarnowski wygłosił poruszające kazanie.

Kapliczka na Uzborni nie ma bogatej bibliografii. W pracy zbiorowej *Kapliczki i krzyże przydrożne Ziemi Bocheńskiej* jest krótka informacja wraz z ładną fotografią kapliczki, autorstwa pana Janusza Paproty, którą za jego zgodą prezentujemy na łamach naszego kwartalnika.

W periodyku parafii św. Pawła *Głos Parafii* w październiku 1997 r. zamieszczony był mój krótki artykuł *Bocheńskie kapliczki* i tu też niewielka wzmianka o Matce Bożej Niepokalanej z Uzborni.

Zaraz po ukazaniu się informacji o ponownym zniszczeniu figury, Stowarzyszenie Bochniaków i Miłośników Ziemi Bocheńskiej ogłosiło na Facebooku zbiorkę pieniędzy na jej konserwację.

Konserwator oszacował koszty na około 10.000 zł. Już po trzech dniach uzyskano pełną kwotę na konserwację figury.



Wierni podczas nabożeństwa majowego 31.05.2021 r. w miejscu sprofanowania figury, fot. Z. Sitko

Dziękujemy wszystkim ofiarodawcom i też tym, którzy zaangażowani są w różnorodne działania mające na celu, by figura Matki Bożej Niepokalanej wróciła na swoje dawne miejsce.

Przypisy:

¹ Fundatorka kapliczki, Maria z Dobrowolskich, była żoną Ferdynanda Maissa (1856-1933) adwokata, radnego miejskiego i działacza społecznego. W następnych latach Maiss był posłem na Sejm Krajowy we Lwowie i długoletnim burmistrzem Bochni w latach 1896 – 1918. Maria Maissowa udzielała się społecznie w organizacjach kulturalnych i kościelnych, z czego najważniejsze były Katolicki Związek Polek i Towarzystwo św. Wincentego a Paulo.

² Wojciech Samek (1861 – 1921) artysta rzeźbiarz, kamieniarz, uczeń Franciszka Wyspiańskiego w Krakowie. Uczył się potem w Wiedniu, we Włoszech i w Tyrolu w renomowanych pracowniach rzeźbiarskich. Po latach nauki w austriackich i włoskich pracowniach kamieniarskich w 1885 r. wrócił do Bochni i tu założył Zakład Rzeźby Artystycznej na wzór tych, z którymi zetknął się za granicą. Zatrudniał kilkudziesięciu pracowników – rzeźbiarzy, ornamentarzystów, pozłotników, snycerzy i rysowników. Jego liczne prace znajdują się w różnych kościołach dawnej Galicji, kapliczkach i na cmentarzach ³ Genezę kapliczki opowiedziała wnuczka Maissów, Anna Schlang.

⁴ Księga Pamiątkowa parafii św. Mikołaja w Bochni (rkps.) 1957 r. wł. Arch. par. św. Mikołaja, Bochnia

WIADOMOŚCI BOCHEŃSKIE

Kwartalnik Stowarzyszenia Bochniaków i Miłośników Ziemi Bocheńskiej

Redakcja: Janina Kęsek – red. naczelny, Stanisław Mróz, Ewelina Mroczek, Anna Londo, Dorota Korta, Jan Paluch, Krystyna Janus. **Adres redakcji:** 32–700 Bochnia, Rynek 2, Dom Bochniaków, tel. 722-00-80-80, **e-mail:** w.bochenskie@wp.pl, bochniacy. pl@gmail.com. **Strona internetowa:** www.bochniacy.pl, prowadzi Stanisław Mróz. **DTP:** Stanisław Mróz, **druk:** Brzeska Oficyna Wydawnicza, 32–800 Brzesko, ul. Czarnowiejska 1, tel. (0–14) 686–14–70, tel/fax: (0–14) 663–11–91, e-mail: biuro@drukarniabowa.pl

Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych, zastrzega sobie prawo dokonywania zmian w nadesłanych tekstach np. korekta błędów, nadawanie lub zmianę tytułów itd., a także innych zmian, wynikających z zasad edytorskich lub kultury języka. Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń i tekstów.

Zainteresowanych prenumertą prosimy o wnoszenie opłat na konto w KBS w Krakowie O/ Bochnia nr: 60 8591 0007 0081 0011 1054 0001 z dopiskiem - Prenumerata roczna Wiadomości Bocheńskich. Prosimy również podać adres wysyłki.

Artysta malarz Franciszek Krudowski (1860-1945)

Opracowano na podstawie materiałów udostępnionych przez Panią Aleksandrę Wróblewską z Krzeszowic

Na przełomie wieków i w pierwszych latach XX w. mieszkała w Bochni rodzina Krudowskich.

Ojciec rodziny, Jan Krudowski był inżynierem i pracował w Radzie Powiatowej w Bochni. Miał liczną rodzinę. Wszyscy muzykalni. W tym domu muzyka i śpiew brzmiały na co dzień.

Bracia Krudowscy byli absolwentami bocheńskiego gimnazjum. Dalsze ich losy omówiła córka Franciszka Krudowskiego pani Aleksandra Wróblewska na spotkaniu w Stowarzyszeniu Bochniaków 20 września 2016 r. Wspomnienia te opublikowaliśmy w "Wiadomościach Bocheńskich" nr 4 (111)/2016 s. 30-33.

Rodzina Krudowskich może poszczycić się bohaterami I i II wojny światowej, ale też ludźmi uzdolnionymi muzycznie i artystycznie.

Pierwszym z braci Krudowskich był Józef urodzony w 1881 roku, ukończył studia filozoficzne na Uniwersytecie Warszawskim. Uczył w Gimnazjum, komponował i prowadził chór. W latach okupacji uwięziony, zginął w Oświęcimiu.

Drugim był Jan (1882–1940) kapelmistrz wojskowy i dyrygent 16 p.p. w stopniu porucznika. Skomponował muzykę do "Kantaty Bochniaków".



Drzeworyt z obrazu "Powrót z Golgoty"

Kolejni to: August urodzony w 1884r., aktor z wykształ-

cenia, walczył w I wojnie światowej razem z Jerzym (ur.w 1885r), który już bez brata wracał z wojny.

Franciszek urodzony w 1887r. służył w Legionach Polskich. Zmobilizowany w 1939 r. zmarł nagle 15 września 1939 r. w drodze do swojego pułku, który stacjonował w okolicy Zamościa.

Stefan (1890– 1940), podobnie jak Jan, służył w Legionach Polskich i potem brał udział w wojnie bolszewic-



Franciszek Krudowski, fot. z 1882 r. (internet Wikipedia)

kiej 1920 r. i w kampanii wrześniowej 1939 r. Obaj zginęli w 1940 r. w Katyniu.

Marian (1892-1953) i Zygmunt (1894-1939) żołnierze Legionów Polskich, uczestnicy wojny bolszewickiej 1920 r. Walczyli również podczas II wojny światowej. Marian po bitwie nad Bzurą dostał się do niewoli niemieckiej i jako jedyny z braci Krudowskich wrócił po wojnie do domu. Marian i Zygmunt, odznaczeni byli: Krzyżami Niepodległości, Krzyżami Walecznych (Zygmunt trzykrotnie), a Marian był nadto odnaczony Krzyżem Orderu Virtuti Militari.

Najmłodszy Bruno jako chłopiec, skutkiem tragicznego wypadku, zmarł w wieku 13 lat i spoczywa na bocheńskim cmentarzu.¹

Bracia Krudowscy mieli stryja, wybitnie uzdolnionego artystę malarza, Franciszka Krudowskiego (1860–1945), o którym pani Wróblewska także wspomniała, ale warto przypomnieć i przybliżyć tę ciekawą postać.

*

Franciszek Krudowski urodził się w Krakowie 1 maja 1860 r. w rodzinie Franciszka i Rozyny z Horodyńskich. Początkowo uczył się w rodzinnym mieście i tu ukończył gimnazjum św. Anny. Wykazując zdolności i zamiłowanie do malarstwa wyjechał na studia do Wiedeńskiej Akademii Sztuk Pięknych, gdzie w latach 1875–1880 rozwijał swój talent pod kierunkiem Karla Wurzingera i Christiana Griepenkerla. W jego malarstwie dominowała tematyka religijna, ale też malował portrety. Już w trakcie studiów, zwrócono uwagę na jego prace, które zdobywały nagrody i wyróżnienia.

W roku 1877 otrzymał złoty medal za obraz Nawrócenie Szawła i nagrodę za najlepsze studia zbiorowe, a w następnym

roku, uzyskał stypendium za obraz św. Cecylia.

W roku 1880 r., za obraz Powrót z Golgoty, nagrodzono Artystę złotym medalem i tzw. "nagrodą rzymską". W tym samym roku obraz ten wystawiony był w Warszawie w Salonie Ungra i w Towarzystwie Zachęty Sztuk Pięknych².

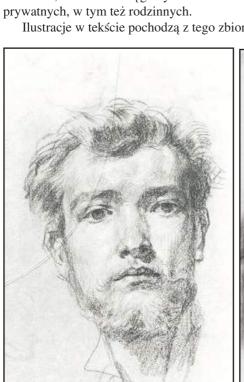
Nagroda, którą otrzymał w 1880 r. pozwoliła mu na na wyjazd do Rzymu i pobyt tam przez jakiś czas. Obrazy, które tam namalował, a trafiały do prywatnych nabywców i rzymskich kościołów, także do Watykanu i do pałacu carskiego w Petersburgu, pozwoliły Krudowskiemu na przedłużanie pobytu, aż do 1893 r. Po 14 latach opuścił Rzym. Podróżował po Europie. Przez jakiś czas mieszkał w Monachium, potem w Pradze.

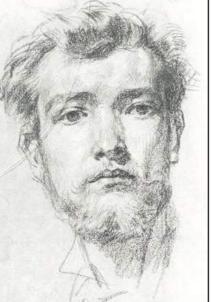
W1900 r. wrócił do rodzinnego miasta. Malował coraz mniej, ale ciągle wystawiał swoje prace w Krakowie, Katowicach, Warszawie, Płocku, Rado-

miu, a w 1932 r. w Rzymie na wystawie Roma nell'Ottocento3. Interesował się muzyką, poezją i filozofią.

Obrazy Franciszka Krudowskiego znajdują się oprócz w/w miejsc, także w zbiorach Muzeum Narodowego w Krakowie, Warszawie i Poznaniu, w Muzeum Mazowieckim w Płocku, Muzeum Okręgowym w Lublinie oraz w zbiorach prywatnych, w tym też rodzinnych.

Ilustracje w tekście pochodzą z tego zbioru.





Franciszek Krudowski Autoportret (rys. ołówkiem) Głowa młodej kobiety (rys. ołówkiem)

W rodzinnym archiwum Krudowskich zachowało się wspomnienie ojca pani Wróblewskiej, Franciszka Krudow-

> skiego o jego stryju, które, za zgodą rodziny przedstawiamy poniżej z zachowaniem oryginalnej pisowni.

Mały życiorys wielkiego człowieka

Mam zamiar napisać coś niecoś o moim stryju Franciszku. Brat mojego ojca, młodszy od Niego o jakieś 8 lat, od lat najmłodszych zdradzał wybitną inteligencję. Niebawem spostrzeżono, że dziecko to ma talent malarski. Już mając 6 lat rysował wcale dobrze.

W dwunastym roku uczynił na imieniny dziadka obraz biorąc motyw z Lilli Wenedy Słowackiego obraz ten narysowany ołówkiem wisiał u śp. mojej ciotki, siostry ojca, a obecnie znajduje się u Jej córki Marii Fuksównej.

W Krakowie uczęszczał do szkół powszechnych i gimnazjum. Po skończeniu czterech klas szkoły średniej wstąpił do Akademii sztuk Pięknych w Wiedniu, ktorą ukończył z odzna-

czeniem, otrzymał wielki złoty medal i stypendium, 2000 guldenów rocznie na dalsze studia za granicą. Bawił dłuższy czas w Rzymie, gdzie też dużo pięknych obrazów o treści religijnej stworzył-w kościele OO Zmartwychwstańców znajdują się Jego dwa duże obrazy. W tym wielkim mieście, pełnym cudów malarskich i architektonicznych, czuł się po jakimś czasie jak u siebie w domu.

Powodzenie artystyczne wspaniałe. Prowadził też życie

bez trosk. Co jakiś czas przyjeżdżał do Polski. W Warszawie wystawił duży obraz Golgota. Zyskała ona mu dużo sławy i 4.000 rubli-kupili ją jacyś hrabiowie, gdzie specjalnie dla niej zbudowano kaplicę. Jak wielkie wrażenie robił ten obraz świadczy recenzja o nim napisana przez H. Sienkiewicza, a później wydrukowana w Mieszaninach Literackich. Bardzo tam rozpływał się H. Sienkiewicz nad talentem Stryja.

W tym czasie żył w Warszawie mecenas sztuki Lachnicki. Temu to Panu, Stryj namalował parę pięknych obrazów, które teraz znajdują się w Muzeum Narodowym w Warszawie, choć podobno ramy włoskie wymieniono na zwyczajne, drewniane, co już jest zwyczajnym wandalizmem.

Miał wtedy Stryj nasz lat około 23 jeżeli nie mniej. Sława otoczyła go nimbem bardzo prędko. A ze sławą i nowe zamówienia na obrazy, a zatem i odpowiednie dochody.



Św. Cecylia, (szkic do obrazu)

Jakoś niedługo bawił w tej Warszawie, choć mu tam nie szczędzono kadzideł. Wtedy też znalazło się dużo krewnych, którzy dawniej zapomnieli, że nasza rodzina żyje w Polsce. Pojechał znów Stryj do Włoch, choć byli i tacy, którzy radzili mu zaglądnąć do Paryża. Czy (pobyt) we Francji mógł dodatnio na Jego twórczość wpłynąć - należy zostawić znawcom prawdziwej sztuki. Mnie się to nie zdaje. Jeżeli się rozchodzi o lekkość, ekscentryczność francuskiego malarstwa, to przecież Stryjowi braku tego zarzucić nie można, ale to zostawmy znawcom, jak już wspomniałem.

W Rzymie Stryj się rozkochał-zwiedzał też całe Włochy i poznał sztukę włoską na wylot. Władał też językiem włoskim jak swoim, a także niemieckim i francuskim. Z mistrzów włoskich najwięcej odpowiadał Stryjowi Tycjan. Wpływ Tycjana da się wyczuć w Jego obrazach. W ogóle Stryj był klasykiem w każdym calu, wniósł jednak w ten stary klasycyzm coś nowego, coś co pozwala od razu poznać, że to praca Krudowskiego. To "coś" to właśnie ta finezja, ten wdzięk i lekkość w traktowaniu obrazu. W Rzymie zetknął się Stryj po raz pierwszy z nauką Buddy. Jaki wpływ wywarły na Stryja jego nauki, dzisiaj jeszcze nie możemy w pełni określić. Wpływ ten jednak był wielki. Od tego czasu pęd do twórczości się załamał. Nie powstaje już taka ilość obrazów, natomiast duch Jego zaczyna w siebie wnikać.

Gdzieś w czterdziestym roku życia, a może trochę wczesniej, udaje się Stryj do Monachium, gdzie już odpowiednia ilość znakomitych malarzy polskich gościła. I tam pracuje rzetelnie, ale warunki są coraz gorsze, coraz ciężej obrazy dawało się spieniężać. Wraca więc do kraju, gdzie ofiarują Mu katedrę malarstwa w Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie, ale Stryj jej nie przyjmuje i pracuje sam na kawałek chleba. Jeszcze raz zniechęcony stosunkami w Kraju, jedzie do Monachium, wraca jednak w krótkim czasie, aby już tu zostać na stałe.

Franciszek Krudowski (1887-1939)

¹ Al. Wróblewska, W rodzinnym kręgu-Orodzinie Krudowskich, w: Wiadomości Bocheńskie nr 4 (111) 2016 s. 30-33

² Obraz *Powrót z Golgoty* znajdował się w ołtarzu głównym kościoła Narodzenia Najśw. Marii Panny w Warszawie. Zaginął prawdopodobnie podczas powstania warszawskiego. Zachował się jedynie drzeworyt wykonany z tego obrazu dla prenumeratorów Tygodnika Ilustrowanego. Wykonano też litografię, która w 1881 r. była premią dla członków Towarzystwa Sztuk Pięknych.

3 J. Białynicka- Birula,, Krudowski Franciszek, malarz... w: Słownik artystów polskich i obcych w Polsce działających red. J. Mauire - Białostocka i J. Debrojed, Ossolineum, Warszawa--Wrocław-Kraków 1986, T. IV s. 274-275.

Jan Pinowski (Warszawa)

Miasta mojego dzieciństwa Brzesko, Okocim, Bochnia

W latach 1931-1940 dzieciństwo moje związane było z Brzeskiem. W owym czasie zabudowania ulicy Brzozowieckiej obejmowały tylko stronę południową, a od strony północnej ciągnęły się już pola aż do lasów Słotwińskich. Rynek Sienny, obecny Plac Kazimierza Wielkiego, był o wiele większy, po środku stała wielka studnia z pompą.

Przy Rynku na początku lat 30 zbudowano duży budynek łaźni miejskiej¹.

Teren w kierunku miasta obejmowała już gęsta zabudowa głównie zamieszkała przez ludność żydowską. Brzesko powoli rozwijało się, czego dowodził przyrost liczby mieszkańców, które w 1921 r. liczyło 3144 mieszkańców, w 1934 r. 3672,

> a w 1939 r. około 4000. Należy dodać, że zagęszczenie ludności na jedną izbę było ogromne, bo wynosiło w 1934 r. 4,5 osoby na izbę .Około 50 % mieszkańców Brzeska stanowiła ludność żydowska wymordowana przez Niemców podczas II Wojny Światowej².

> Obecnie pewnie już niewielki procent rodowitych mieszkańców tego miasta pamięta czasy międzywojenne.

> W 1931 r. moja matka rozpoczęła pracę, jako nauczyciel kontraktowy, w Państwowym Gimnazjum Koedukacyjnym w Brzesku i zamieszkaliśmy w pobliskim Okocimiu³.

W owym czasie, bardzo krótko, moją opiekunką była Ałła Burmakin-podobno księżniczka, którą mój dziadek, Jan Przybyłowski, przywiózł ze wschodu, kiedy utraciła rodziców podczas Rewolucji Październikowej. Organizacja białych emigrantów poszukujących sierot uciekinierów opozycjonistów Rewolucji Październikowej odnalazła Ałłę i ją zabrali.



Jaś Pinowski z opiekunką Ałłą Burmakin. Od lewej: babcia Zofia Przybyłowska, Okocim 1931



Jasiu Pinowski i jego matka Jadwiga Pinowska. Brzesko 1934



Na tylnym siedzeniu bryczki od prawej: Jadwiga Pinowska i Józefa Chmiołażona kierownika Szkoły Powszechnej w Okocimiu. Na przednim siedzeniu od prawej: Jasiu Pinowski i syn Państwa Chmiołów Andrzej. Okocim 1935.

Znam tę historię ze wspomnień rodzinnych ponieważ wtedy byłem niemowlęciem.

Matka w Okocimiu zawarła przyjaźnie, które trwały cały czas naszego pobytu w Brzesku. W Okocimiu odwiedzaliśmy znajomą mieszkającą w pięknym dużym domu w ogrodzie, hodującą perliczki. Prawdopodobnie u niej mieszkaliśmy. Równie często odwiedzaliśmy w Okocimiu państwa Pawła i Józefę Chmiołów. Pan Chmioła był kierownikiem szkoły w Okocimiu, a jego żona nauczycielką w tej szkole. Państwo Chmiołowie mieszkali obok kościoła, po drugiej stronie drogi. Nieco z góry, z ich domu, obserwowałem

Jiedmio -klasowa Publiczna Szkoła Powszechna Nr. im. jana Gota Okocimskiego Okocimiu (powiat breshi Rok szkolny 193 7/2 ZAŚWIADCZENIE. Pinowski Jan Krystyn wrodzon z dnia 18 spaidzwien 1930 r. w Krakowie (powiat krakewski), religii (wyznania) rzymske-katal był w roku szkolnym 193 7.18 uczniem - uczenicą klasy pierwszej publicznej szkol powszechnej i - przechodzi do klasy drugiej. / zdawał prywalnie / w Okocimii

w Okocimiu w 1938 r.

przyjazd do kościoła barona Antoniego Götza Okocimskiego z rodziną. Państwo Chmiołowie mieli syna Andrzeja w moim wieku, z którym bardzo dobrze bawiłem się. W 1938 roku wakacje letnie spędziłem z Bogusiem i Kazimierzem Zaufalami, dziećmi Wilhelma Zaufala nauczyciela wychowania fizycznego w Gimnazjum. Mieszkaliśmy w budynku szkolnym. Robiliśmy wycieczki ornitologiczne, a także zbieraliśmy martwe ćmy z okien szkolnych.

Do pierwszej klasy nie chodziłem, zdawałem egzamin z umiejętności wymaganych od pierwszoklasisty w szkole w Okocimiu. Egzaminował mnie dobrze mi znany pan Chmioła w obecności moich przyszłych kolegów-drugoklasistów. Zamiast wykazania się umiejętnościami wybuchnąłem płaczem. Ja płakałem, cała klasa zanosiła się od śmiechu i na tym skończyła się moja kariera w szkole w Okocimiu.

Pan Chmioła został aresztowany przez gestapo w 1941 r. i zginął w 1942 r. w Oświęcimiu. Jego żona Józefa po wojnie w 1945 r. była kierownikiem szkoły powszechnej w Okocimiu oraz pracowała w bibliotece publicznej w Brzesku⁴.

Po wojnie byłem w Okocimiu tylko raz 1 października 1997 r. Za kościołem, gdzie były pola i łąki, wyrosło osiedle mieszkaniowe i przypominało raczej miasto niż dawną wieś

Rok 1933 i pewnie wiosnę 1934 r. spędziłem pod opieką babci Zofii Riedel-Przybyłowskiej, a moją nianią do 1936 r. była Rózia, 18-letnia bardzo ładna blondynka.

W okresie tym mieszkałem w domu rodzinnym, w dzielnicy Krakowa-Dębniki przy ul. Różanej 4, koło rynku Dębnickiego. Stąd moje częste spacery nad blisko płynącą Wisłę, która była wówczas wąską i stosunkowo płytką rzeką, skoro w czasie suszy, jak fama głosiła, można było przejść w bród pod Wawelem na drugą stronę. Moje pierwsze wspomnienia z lat dziecięcych dotyczą wypraw na sanki z Rózią, nad zamarzniętą Wisłę, gdzie stopnie wałów stanowiły dobry teren do zjeżdżania. Po drugiej stronie Wisły stały galary tam zimujące, a latem przywożące węgiel do Krakowa ze Śląska. Babcia prawie codziennie wysyłała listy do mojej mamy, opisując działania jej trzyletniego synka np. Janek się dziwi, że po zamarzniętej Wiśle łódki nie pływają. Zachowały się cztery listy babci z 19 marca, 11, 16 i 19 grudnia 1933 r.



Świadectwo ukończenia klasy pierwszej Szkoły Powszechnej Od lewej: ciotka Krystyna Przybyłowska Wnęk, jej córka Hania, babcia Zofia Przybyłowska, Jasio Pinowski, stoi jego matka Jadwiga Pinowska. Brzesko 1937

Pierwsze dość migawkowe moje wspomnienia z Brzeska dotyczą podwórza domu policjanta o nazwisku Kraj, do którego przenieśliśmy się w 1934 r. Dom był położony przy ul. Kościuszki obok ówczesnego Gimnazjum (teraz szpital). W tym samym roku przenieśliśmy się również do domu policjanta-Klimka na ulicę Brzozowiecką 7, gdzie moimi towarzyszami zabaw byli Klimkowie-Marian i Janina (później Piechowicz). Od tego czasu mam już wiele wspomnień z Brzeska. W czasie mieszkania u Klimków niania często mnie zabierała na cmentarz wojskowy (tuż obok cmentarza żydowskiego) oraz na całodniowe wycieczki do lasów Słotwińskich. Po drodze mijaliśmy cmentarz choleryczny z trzema wielkimi drewnianymi krzyżami (obecnie jest tam cmentarz komunalny) i piaszczyste pola pokryte pachnącym łubinem. Czas zamieszkiwania u Klimków wspominam miło. W naszym pokoju stał ogromny rzeźbiony stół (ostatnio taki stół widziałem w 1952 roku przy ul. Leonarda 2 w Bochni), który pełnił rolę sceny w czasie wystawianych przez nas sztuk. Z dyni robiliśmy maski, opalonymi korkami malowaliśmy twarze do różnych ról diabłów. Przygotowując przedstawienia teatralne, największą uwagę zwracaliśmy chyba na kostiumy i charakteryzację, ponieważ treści granych sztuk nie pamiętam.

Pomysły dziecięce bywały czasem przerażające. Utrzymywaliśmy w wielkiej tajemnicy przed dorosłymi pomysł leczenia psychicznie chorej sąsiadki miksturą z rozcieranych różnokolorowych cegieł. Stary Klimek miał za oknem wspaniale owocującą czereśnię, docenianą także przez kawki. Czereśnie dojrzewały i trwała nieustanna walka między odpędzanymi kawkami a właścicielem drzewa. Pewnego dnia zdesperowany Klimek chwycił kbks i strzelił do kawek, nie otwierając okna.

Okres mieszkania u Klimków kojarzy mi się z czekoladowym smakiem ovomaltiny (preparatu witaminowego podawanego dzieciom) i bardzo smacznymi czekoladkami przeciwko robakom.

W 1936 r. przenieśliśmy się do drewnianego domku należącego do stolarza Aleksandra Gdowskiego, położonego na skraju Rynku Siennego obok przedszkola i niedawno zbudowanej łaźni miejskiej. Dziś ten domek już nie istnieje a jego miejsce zajęły obecnie bloki mieszkalne.

W Brzesku obecny Plac Kazimierza Wielkiego znajduje się na terenie dawnego Rynku Siennego zajmującego znacznie



W 1936 r. u Gdowskich. Od tyłu: niania Rózia, córka Gdowskiego i Jasiu Pinowski

większą powierzchnię. Odbywały się na nim cotygodniowe tłumnie odwiedzane targi. Sprzedawano na nim z wozów produkty rolne i ze straganów produkty potrzebne na wsi, na przykład garnki. Mnie oczywiście najbardziej interesowały zabawki wykonane z drewna przez ludowych twórców: poruszające się zwierzęta, piszczałki. Po południu oglądaliśmy wielkie sprzątanie rynku. Prawie co roku

na Rynku Siennym stawał budzący zachwyt wielki namiot cyrku oraz otaczające go wozy mieszkalne załogi i zwierząt cyrkowych. W ramach seansów cyrkowych zawsze były występy tresowanych koni, lwów, woltyżerka i występy klaunów. Wybuch wojny we wrześniu 1939 roku zatrzymał w Brzesku Cyrk Józefiego. Pamiętam ryki osłów pasących się na podmokłej łące, otoczonej kanałem, graniczącej od południa z ogrodami i sadami zabudowań ul. Brzozowieckiej.

Z tyłu domu Gdowskich był piękny ogród otoczony żywopłotem. Z naszego pokoju drzwi wychodziły na werandę, przed którą rosły białe maliny, dalej był płot, a za nim moje przedszkole.

Często przesiadywałem w warsztacie stolarskim, gdzie obserwowalem uczniów stolarza, którzy naukę zawodu rozpoczynali od wystrugania setek drewnianych kołków zastępujących gwoździe. W tym czasie chciałem zostać stolarzem i matka kupiła mi zestaw narzędzi dla małego stolarza. Zrobiłem budkę dla szpaków i pomalowałem ją na zielono.

W domu nie było łazienki ani bieżącej wody i dlatego raz w tygodniu chodziliśmy do łaźni. Pamiętam, że matka zostawiła w łaźni złoty zegarek i niestety już go nie odnalazła.

Stolarz Gdowski miał córkę starszą ode mnie. Przeżyciem dla mnie było próbowanie wody z Bałtyku, przywiezionej przez nią w butelce z wakacji nad morzem.

Matka przebywała całe dnie w szkole, a ja czas spędzałem z opiekunkami. Najdłużej moją opiekunką była Rózia, nie pamiętam jej nazwiska, bardzo ją lubiłem, podobały mi się jej blond włosy. Ostatni raz spotkałem ją w listopadzie 1939 roku w Krakowie. Rózia miała zakład fryzjerski i mnie strzygła. Prawdopodobnie po zaprzestaniu pracy u nas, wróciła do swej rodziny na Dębniki w Krakowie.

W 1938 roku przenieśliśmy się od Gdowskich do Mleczków na ul. Brzozowiecką 15, gdzie mieliśmy trzy pokoje i kuchnię ze zlewem, ale z wodą ze studni przynoszoną na pierwsze piętro w wiadrze. Niestety najładniejszy pokój mama wynajęła pani inżynier rolnictwa i straciłem dostęp do balkonu, na którym miałem karmnik dla ptaków.

W moim pokoju wszystkie kątki zajmowały postacie obrazujące jakieś historyczne zdarzenie. Karton z namalowanymi postaciami, tak zwane wycinanki, kupowałem, a postacie wycinałem, aby uczestniczyły w moich zabawach, na przykład

w rozgrywanej bitwie pod Grunwaldem. Boguś Zaufal nie kupował gotowych rysunków (wycinanek)-rysował i malował je sam.

W tym czasie u Mleczków przyjaźniłem się z synem gospodarza Tadkiem oraz nadal z całą rodziną Zaufali, w której było sześcioro dzieci (Boguś, Hania, Kazik, Janka, Zosia, Staszek). Państwo Zaufalowie mieszkali w klasycystycznym dworku w pięknym parku przy ulicy Brzozowieckiej, niedaleko od kamienicy



Tadeusz Mleczko, kolega Jasia Pinowskiego. Zmarł w 1942 r. Fot. Brzesko 1938

Mleczków. Nic dziwnego, że ja, jako jedynak, często pędziłem do Zaufali. Zachowałem w pamięci pobyt w maju 1938 r. w Mościcach pod Tarnowem na zawodach balonowych i obraz wzbijających się w niebo balonów. Matka kupiła mi za 50 groszy balonik biorący udział w konkursie na najdłuższy lot. Wypuszczając go czułem się pewnie jak dowódca balonu w wielkim konkursie o puchar Gordona Benetta. Tego roku drugie miejsce zajęli Polacy, co podniosło poczucie dumy narodowej. O moim baloniku nic się nie dowiedziałem.

U Mleczków zastała nas II wojna światowa. Babcia przyjeżdżała do Brzeska z Krakowa na całe miesiące. Babcia prowadziła komplety nauki języka francuskiego u nas w domu, najczęściej były to uczennice Gimnazjum. Teraz z perspektywy czasu sądzę, że uzupełniała w ten sposób skromną pensję mamy. Pensja matki jedyna, jaką znam, wynosiła w 1939 roku 260 zł a po różnych potrąceniach 210 zł, a do 1935 roku, kiedy mama zajmowała stanowisko nauczyciela kontraktowego pensja zapewne była o wiele niższa. Innych źródeł utrzymania matka nie miała.

W moim domu zawsze były zwierzęta. U Gdowskich hodowałem kanarki, niestety przeżyłem niejeden dramat, ponieważ czasem zjadały je koty. W 1939 roku, mieszkając już w kamienicy Mleczków, hodowałem także wiewiórkę siejącą spustoszenie w domu: skok na firankę równał się jej zniszczeniu, a cerata na stole nosiła niezmywalne ślady jej siusiania. Miałem też psy, na przykład szpice, rasę wówczas bardzo modną. Jadąc do Krakowa, zabieraliśmy psa i jechaliśmy wówczas w przedziale przeznaczonym dla psów i osób wściekłych—w tych czasach wścieklizna była na tyle częsta, że wymagało to wyznaczenia odrębnego przedziału izolującego chorych i psy od pozostałych pasażerów.

Matka wiele razy w roku organizowała wycieczki szkolne do Zakładów Azotowych w Mościcach pod Tarnowem, gdzie pokazywano nam między innymi skroplone powietrze, do Browaru w Okocimiu, a właściwie do elektrowni browaru, na miejsce budowy tamy w Rożnowie. Pamiętam też wycieczkę chevroletem Götza za miasto, była to dla mnie wielka radość głównie z powodu przejażdżki samochodem, który w tym czasie był rzadkością.



Komunia św. drugiej klasy Szkoły Powszechnej, wiosna 1939 r. Ksiądz katecheta NN i opiekunka klasy Maria Fortunowa.

Około 20 kilometrów od Brzeska nad Wisłą była bogata wieś Szczurowa, skąd pochodziło wielu uczniów Gimnazjum mieszkających na stancjach. W czasie zimy organizowano tam kuligi, na które zapraszano moją matkę, były one dla mnie wielką przygodą i radością.

W Brzesku chodziłem do przedszkola mieszczącego się tuż koło domu i z reguły przychodziłem pierwszy, aby zająć miejsce na koniu na biegunach. Pewnego dnia okazało się, że jedna z dziewcząt przyszła wcześniej i zajęła konia. Potraktowałem ją niezbyt uprzejmie, skutkiem tego miała rozbitą głowę o piec, a moja matka kłopoty.

Drugoklasistą byłem w Brzesku w latach 1938-1939, a moją wychowawczynią była pani Maria Fortunowa mająca domek na Rynku Siennym.

Ulice wyglądały odmiennie niż obecnie. Polacy wyznania Mojżeszowego stanowili około 50% mieszkańców i na ulicach dominowali Żydzi w długich chałatach. Przed domami siedzieli starsi Żydzi w lisich czapach na głowach zwanych lisiurą lub spodekiem (byli to chasyci, sekty powstałej na Podolu w XVII w., młodzi nosili pejsy, na głowie czapki z małym daszkiem)⁵.

Po Rynku Siennym zawsze przed południem spacerował rabin w białych skarpetkach z dwoma młodymi Żydami. Często z matką chodziłem na ulicę poniżej kościoła do drukarni żydowskiej, gdzie właściciel pokazywał mi, jak drukuje się książki i jak się obcina krawędzie. Nianie straszyły mnie Żydem, który łapie aryjskie dzieci, żeby z ich krwi robić macę. Pamiętam wielki napis na ścianie budynku w drodze z Rynku Siennego na ulicę Brzozowiecką: "Nie kupuj mięsa u Żyda".

Czasami w czasie pogrzebów żydowskich za skrzynią ze zwłokami szło kilka tysięcy Żydów. Na skutek opowiadań niań trochę się Żydów bałem. Niepokoił mnie także hycel łowiący bezdomne psy. Tłuszcz psi był podobno wspaniałym lekarstwem na różne choroby. Nierzadko na podwórkach pojawiali się domokrążcy nawołujący—Garnki drutuję! Nikt wówczas pękniętego garnka glinianego nie wyrzucał, gdyż nawet z kawałków taki specjalista potrafił złożyć garczek gliniany, który nadal nadawał się do użytku. Często też można było słyszeć–Szmaty kupuję!, byli to najczęściej Żydzi. Ze

starych szmat robiono papier. Pamiętam urzędnika magistratu w mundurze (urzędnicy miejscy mieli czerwone rogatywki i granatowe mundury), który przyszedł do sąsiadów zastrzelić wściekłego psa. Niepokoiły mnie też bardzo długo napisy w sklepach "Kredyt zginął, zabili go dłużnicy"–z jakiego powodu tego "Kredyta" mieli zabić dłużnicy? Ratusz brzeski pamiętam tylko z pobytu na wystawie sprzętu kuchennego na której prezentowano maszynkę do robienia ciastek podobną do maszynki do mięsa.

Jednym z programów obchodów rocznicy Konstytucji 3 Maja były popisy umiejętności artystycznych dzieci w Parku Sokoła. Nie pamiętam już, którego to roku miałem tańczyć krakowiaka, ale moja partnerka zachorowała i na zastępczą partnerkę wyznaczono mi dziewczynkę, której nie lubiłem, odmówiłem, upar-

łem się, że nie będę z nią tańczyć i na tym skończył się mój pokaz umiejętności tanecznych. Uroczystości trzeciomajowe wspominam do dziś z zachwytem, defilady pięknych ułanów na koniach z proporcami. Pamiętam też, że w latach 1938-1939 roku przyjmowano zapisy ochotników-kandydatów na "żywe torpedy" na wypadek wojny. Podziwiałem tych ochotników.

W sklepach przy wejściu były dzwonki poruszane przy otwieraniu drzwi, które zawiadamiały gospodarza zwykle mieszkającego na zapleczu, że przyszedł klient.

Często chodziłem z matką do Gimnazjum do jej pracowni fizycznej i chemicznej, pokazywała mi, jak odbarwia się fluorem rośliny, pokazywała mi modele lokomotywy i innych pojazdów i maszyn, ustawiałem też palniki spirytusowe na stołach w pracowni fizycznej.

W dzieciństwie do wybuchu II Wojny Światowej moim

marzeniem były podróże i zwiedzanie egzotycznych krajów. Zbierałem znaczki pocztowe różnych krajów świata, na przykład z Ekwadoru, Togo. Kupowała mi je mama lub wymieniałem się z kolegami (Tadkiem Mleczkiem synem właściciela kamienicy, w której mieszkaliśmy; Tadek zmarł na zapalenie płuc w 1942 r., Bogusiem i Kazikiem Zaufalami i innymi). Prawdziwą kopalnią znaczków była wielka komoda mojego dziadka w Krakowie.

Każde święta spędzaliśmy w domu rodzinnym w Krakowie, obok rynku Dębnickiego, przy ulicy Różanej 4. Z domu w Brzesku jechaliśmy dorożką do oddalonej o 3 km stacji kolejowej Brzeko-Słotwina gdzie zatrzymywał się pociąg do Krakowa. W Brzesku w tamtych czasach nie było taksówek.

Matka, jako nauczycielka, miała wolny lipiec i sierpień i wtedy wyjeżdżaliśmy na letnisko albo na obóz harcerski prowadzony przez matkę.

W 1935 matka opiekowała się 26- dniowym obozem harcerek w Maniowej, była to żeńska drużyna im. Zofii Chrzanowskiej z Gimnazjum. W 1935 roku byliśmy także z babcią Zofią Riedel-Przybyłowską w Wiśle Dziechcince. Pamiętam tylko, że tu spotkaliśmy koło domu kilka żywych żmij. W tymże roku byłem z mamą i Hanią Zaufal (Łużną) w Rabce.

W 1936 roku byliśmy też na obozie harcerskim w Starym Sączu. Obóz założono na skraju lasu nad Popradem za rzeką i tu trzeba było przechodzić przez drewniany most utrzymywany okresowo-rozbierano go na zimę. Tego lata most skradziono. Na szczęście dla nas stało się to już po zakończeniu obozowania. Przez kilka dni lał deszcz. Poprad wylał, więc musieliśmy likwidować obóz i uciekać do miasta. Zamieszkaliśmy wtedy w szkole w Starym Sączu, niedaleko kościoła. Z sufitu tego kościoła zapamiętałem zwisający korzeń z drzewa rosnącego na dachu. Wielkie wrażenie zrobiły na mnie także warkocze miejscowej dziewczyny sięgające do ziemi i chmary motyli bielinków lecących na południe wzdłuż Popradu.

W 1938 r., w zimie, byłem z mamą w Żywcu, mieszkaliśmy tam u skoczka narciarskiego biorącego udział w zawodach w ramach FIS. Obserwowałem przygotowania nart do skoków i pamiętam długość jego skoku w tych zawodach–36 m.

W 1938 r. przez całe lato byliśmy w Okocimiu, o czym już pisałem.

W 1939 r., pod koniec lutego, byłem w Wiśle z ciocią Krystyną Przybyłowską-Wnęk i jej córką Hanią. Pamiętam, że jak jechaliśmy wieczorem z Katowic do Wisły to byliśmy w pociągu jedynymi pasażerami, konduktor zabawiał nas wtedy rozmową. Mieszkaliśmy w willi krytej gontem o nazwie "Wrzos", tuż u podnóża góry. Śniegu nie było ani śladu.

Przez całe ferie 1939 r. byłem na wakacjach z Bogusiem i Kazikiem Zaufalami w Poroninie–Zubsuche 444, a dokładniej w chacie górala o nazwisku Franciszek Tatar.

Po powrocie w ostatnich dniach sierpnia 1939 r., zaczęliśmy, tak jak wszyscy sąsiedzi, w panice przygotowywać się do wojny. Mama kupiła 10 kilogramów ryżu (jadłem go aż do wiosny 1940 roku) oraz papier, którego pasma naklejane na szyby, miały je w czasie wybuchu chronić przed pękaniem. W czasie bombardowań w 1944 i 1945 r. miałem okazję oglądać szyby wyginające się nawet do 10 centymetrów pod wpływem podmuchów wywołanych przez bomby.

W pierwszym dniu wojny przyjechała ciocia Krysia z Katowic z małą Hanią i namówiła mamę do ucieczki na wschód wynajętymi dwiema dorożkami: na jednej babcia Zofia, mama i ja, na drugiej ciocia Krysia z Hanią i bagażem. Wyruszyliśmy w kierunku Szczurowej, by tam przeprawić się przez Wisłę. Następnie dojechaliśmy do wsi Stojanowice poczta Dobiesławice, gmina Bejsce, powiat Kazimierza

Następnie dojechaliśmy do wsi Stojanowice poczta Dobiesławice, gmina Bejsce, powiat Kazimierza Wielka. Zatrzymaliśmy się w małym gospodarstwie u bardzo gościnnych ludzi. Uprawiali tam soję. Córka właścicieli, Hania i ja piekliśmy nasiona soi na blasze kuchni, a gdy już pękały, zjadaliśmy je, bardzo mi smakowały. Wynajęte dorożki odjechały. Front się zbliżał. Uciekliśmy już na piechotę razem z mamą do folwarku odległego o kilka kilometrów. Po bombardowaniu artyleryjskim widać było naokoło pożary, była

noc i tylko młody chłopak, polski żołnierz w hełmie na gło-

Zaczął płonąć sąsiedni budynek, kazano mi opiekować się małą dziewczynką; trzymałem ją kurczowo za rękę, wyrywała się, strasznie krzyczała i później okazało się, że uszkodziłem jej rękę. Rano bombardowania ustały. Wracaliśmy przez pola do naszych gospodarzy. Po drodze po raz pierwszy zobaczyłem niemieckich żołnierzy, którzy jechali opancerzonym autem ze skierowanym w naszą stronę karabinem maszynowym. Drogi powrotnej ze Stojanowic do Brzeska nie pamiętam. Dom w Brzesku był nienaruszony, spłonęła tylko synagoga podpalona przez Niemców. Celem dalszej podróży był Kra-



Hania Zaufal i Jasiu Pinowski. Rabka 1935 r.

wie, mnie pocieszał.

ków, na żaden pociąg nie mogliśmy liczyć, dworzec w Brzesku-Słotwinie był zbombardowany, zginęło wówczas około 250 osób, a kilkaset było rannych⁶. Byłem w Słotwinie jesienią tegoż roku po opadnięciu liści, w koronach drzew wisiały jeszcze szczątki ubrań.

Wyszliśmy na drogę. Matka, która znała bardzo dobrze język niemiecki, przekonała żołnierzy Wehrmachtu jadących ciężarówką, aby zabrali nas w kierunku Krakowa; wysadzili nas w Bochni. Przed drugą wojną światową znałem Bochnię tylko z okien pociągu, kiedy to kilkakrotnie w czasie każdego roku jechałem z mamą z Brzeska-Słotwiny (teraz Brzesko-Okocim) do Krakowa. Teraz po raz pierwszy w połowie września 1939 roku byłem w Bochni. Na dworcu kolejowym pod strażą żołnierzy niemieckich stało kilka pociągów towarowych z polskimi jeńcami, mającymi jechać w kierunku Krakowa. Pilnujący Niemcy nie zwracali uwagi na naszą obecność, możliwe, że było to wynikiem pertraktacji mojej mamy ze strażnikami.

Polscy żołnierze chętnie przyjęli nowych pasażerów, to znaczy babcię Zofię, ciocię Krysię z Hanią, mamę i mnie. Niestety przez dwa dni pociąg nie ruszył z miejsca. Rodzina męża cioci Krysi, Józefa (Jacka) Wnęka, mieszkała w Bochni i pewnie dzięki ich pomocy ciocia Krysia zjawiła się z właścicielem wozu z zaprzęgiem, który zgodził się zawieźć nas do Krakowa. Jechaliśmy cały dzień, nim stanęliśmy w Krakowie na Różanej 4. Zaczęło się życie okupacyjne: zakupy na kartki, stanie w kolejce od czwartej rano, żeby kupić chleb, w którym było mało mąki, za to dużo buraków albo karpieli.

W Krakowie chodziłem do trzeciej klasy, ale gdzie mieściła się ta szkoła, nie pamiętam. Była ona chyba na skraju Plant, od strony Starego Rynku za Placem Szczepańskim w kierunku Dworca PKP. Zapamiętałem tylko, że nauczyciel języka polskiego każdą pracę domową kazał ozdobić rysunkiem, a w tym rysowaniu dzielnie zastępowała mnie babcia.

Na pewno przed Bożym Narodzeniem, wróciliśmy do Brzeska, bo pamiętam, że ozdoby zamiast na choince powiesiliśmy na drzewku fikusa. Co matka robiła w Brzesku, nie wiem, wychodziła codziennie rano i wracała wieczorem, jadałem obiady u sąsiadów (sąsiad był urzędnikiem magistrackim, pracował).

Zima była ostra, śnieg na metr. Po drugiej stronie ulicy zbudowaliśmy z kolegami igloo w dwumetrowej zaspie. Chodziłem też na narty daleko na drugą stronę Brzeska za ratusz. Miałem czynny karmnik, do którego przychodziły bogatki. Około 15 maja 1940 r. wyjechaliśmy już na zawsze z Brzeska do Skawiny, miasteczka oddalonego od Krakowa o 15 km na zachód, w miejsce zwane "Pod Lipkami". Wyjazd ten uratował matkę przed aresztowaniem przez gestapo 4 czerwca i wywiezieniem do Tarnowa, a następnie do Oświęcimia, co spotkało wielu nauczycieli z Brzeskiego Gimnazjum.

Z Brzeska wyjechaliśmy około 15 maja 1940 r., ponownie byliśmy dopiero 1947 r. Zwiedziłem pałac Götzów, w którym było już Gimnazjum. Przechodziłem też ulicą Brzozowiecką. Byłem potem jeszcze trzy razy w latach 60. 80. i 90. XX w., a ostatnio 26 listopada 2018 r., prezentując w Domu Kultury swoją książkę Z ptakami przez życie, autobiografia ornitologa ekologa.

Po powrocie z obozu harcerskiego do domu w Skawinie (w sierpniu 1947 r.) okazało się, że mama likwiduje utworzone przez siebie gimnazjum i przenosimy się do Bochni, gdzie mieszkała jej młodsza siostra Krystyna Wnęk z córkami Hanią i Małgosią. Pod koniec sierpnia opuściłem więc dom "Pod

Lipkami", gdzie spędziłem siedem lat. W latach 1947-1952 mieszkaliśmy w Bochni. Mieszkanie w Bochni, które wynajęła mama, było okropne, pełno pluskiew, jakieś stare meble. Na szczęście Mama objęła opieką żeński internat w Liceum Pedagogicznym blisko Gimnazjum i Liceum im. Kazimierza Wielkiego. Mieliśmy mały pokoik w żeńskim internacie. W Bochni chodziłem do Gimnazjum i Liceum im. Kazimierza Wielkiego do klasy męskiej IIId, której opiekunem był fizyk Michał Horodyski. Angielskiego uczyła Aniela Kuklanka, chemii Kazimierz Smołka, łaciny Piotr Galas, polskiego Stanisława Sierpińska, a poźniej Jan Gębica, geografii Seweryn Ellnein, katechetą był ks. Antoni Czapliński, biologii uczyła Wiktoria Mączkowa, historii Aleksander Niwiński, wychowania fizycznego Stanisław Gawłowicz.

W szkole było kółko przyrodnicze, w którym prowadziłem dział ochrony przyrody. W klasie IIId było nas około trzydziestu i z nich odtwarzam w pamięci: Józka Szeligę, Mariana Kociołka, Leszka Zagórskiego, Jana Dobranowskiego, Jerzego Dygę, Mariana Foszcza, Józefa Kosta, Stefana Zielińskiego, Ryszarda Totę, Staszka Morońskiego, Zdzisława Łopatę, Kazika Kokoszkę (Orlewicz), Jerzego Kunzego, Stefana Cieślika, P. Świgosta, Zenona Horodyskiego. W ławce siedziałem zawsze ze Stefanem Zielińskim, w czasie lekcji obowiązywał nas podział pracy: ja miałem obowiązek uważać, a on w tym czasie studiował partyturę utworu, który miał śpiewać na najbliższej próbie zespołu, którym był kwartet: Tadeusz Hargesheimer, Roman Łopata, Kazimierz Ślizowski, Stefan Zieliński.

W czasie lekcji łaciny każdy uczeń miał przeczytać fragment tekstu.

Nasz łacinnik profesor Piotr Galas zwracał uwagę na właściwe akcentowanie poszczególnych słów, a ja miałem z tym zasadnicze kłopoty, pewnie z powodu kompletnego braku słuchu muzycznego. Słuchanie mojego akcentowania było torturą dla uszu nauczyciela i pewnie dlatego zawarł ze mną umowę, że będzie mi obniżał o jeden stopień każdą moją ocenę, byleby nie słuchać mojego czytania. W czasie pewnej lekcji, widocznie zapomniał o umowie, polecił mi przeczytanie fragmentu, co zrobiłem, akcentując każde słowo inaczej, niż należało. Profesor był wstrząśnięty na tyle, by wygłosić do mnie przemowę: "Pinowski! Pomyśl, co by było, gdyby twoi wnukowie spytali cię dziadku, jak się akcentuje te słowa? Ty byś przeczytał, tak akcentując. Co oni pomyśleliby o twoim nauczycielu?".

Dotychczas nie miałem okazji wykazać się umiejętnością właściwego akcentowania słów łacińskich. Pani prof. A. Kuklanka, ucząca nas angielskiego, miała dni, kiedy naszym zdaniem oceniała nas zbyt surowo. Nie pamiętam już, kto wpadł na pomysł zaprotestowania. Za najlepszą formę protestu uznaliśmy zakłócanie lekcji. Pod kierownictwem najlepszego fizyka w naszej klasie Leszka Zagórskiego zbudowaliśmy sieć ukrytych dzwonków: w szafie, w biurku nauczyciela, w kilku miejscach klasy. Na pierwsze dźwięki nie było żadnej reakcji, ale dźwięk dzwonka w szufladzie jej biurka wywołał natychmiastową reakcję.

Pani Kuklanka otworzyła szufladę, wyrwała dzwonek i pobiegła z nim do dyrektora. Dotkliwość kary była na tyle niewielka, że w ogóle jej nie pamiętam. Pamiętam tylko, że wychowawca naszej klasy, pan Horodyski obejrzał sposób zainstalowania dzwonków i był zachwycony umiejętnościami uczniów wykorzystania wiedzy zdobytej na lekcji fizyki. Z pa-

nią Kuklanką zetknąłem się jeszcze w czasie mojej eksternistycznej matury. W czasie egzaminu ustnego z języka angielskiego miałem wygłosić życiorys Bolesława Bieruta. Pewnie wyglądałem na przestraszonego, bo pani Kuklanka podeszła do mnie i pytaniami starała się pomagać, mówiąc kilka razy "Dżon", a ja nie wiedziałem, co to znaczy. Gdy oddalił się przewodniczący komisji egzaminacyjnej profesor Władysław Glodt spytałem, co znaczy Dżon. Ona na to, że "Janek". Odetchnąłem, starałem się wydukać życiorys-dostałem dobrze. Nie należałem też do dobrych polonistów. Jedna z naszych prac klasowych była na temat ostatnio przeczytanej książki. Byłem w kłopocie, bardzo dużo czytałem, ale prawie wyłącznie książki przyrodnicze. Na pamięć znałem książkę Jana Bogumiła Sokołowskiego pod tytułem Ochrona ptaków. Cały rozdział Estetyka a ochrona ptaków przelałem na papier. Nauczyciel Jan Gębica, oddając ocenione prace, był zachwycony. Wiedział, że o ściąganiu nie było mowy i uznał to za dowód mojej przemiany. Ubolewał tylko z powodu jednego błędu ortograficznego. Napisałem bowiem wyraz "krzak" przez "sz"przecież nazwę ptaka kszyka pisze się przez "sz", to dlaczego "krzak" miałbym pisać przez "rz"...

W Bochni należałem do ZHP, drużynowym był Staszek Moroński. Harcerze zdobywali różne sprawności, a jedna z nich miała świadczyć o umiejętności rozpoznawania ptaków. Ja wówczas uważałem się już za znawcę ptaków w takim stopniu, że byłem osobą egzaminującą. Sprawdzanie umiejętności oznaczania ptaków odbywało się w Parku Uzbornia położonym na południu miasta. W ramach przysposobienia wojskowego (PW) były też raz całonocne ćwiczenia. W szkole działała również organizacja Związek Walki Młodych. U nas w klasie był tylko jeden członek ZWM-u i ten, tak jak i inni zachowywał się wyzywająco nawet w stosunku do nauczycieli; dawali im do zrozumienia, że są ważni. W 1948 r. za namową Stefana Zielińskiego zapisałem się do nowo powstałej organizacji młodzieżowej ZMP. Z jej ramienia miałem uczyć analfabetów w sąsiednich wioskach np. w Kurowie. Dokument dowodzący mojej działalności w tej organizacji miał mi przysporzyć punktów przy ubieganiu się na studia.

W 1947 r. przeprowadziliśmy się na ulicę Leonarda 2 do domu prof. Stanisława Warcholika. Zamieszkaliśmy w ma-

Waiszwsko-Wied

Dom Państwa Warcholików przy ul. Leonarda 2. Fot. S. Mróz

łym pokoiku na piętrze, z małym piecem kaflowym w metalowych ramach i kuchenką elektryczną do gotowania. Zimą nie byliśmy w stanie ogrzać go wystarczająco, ale piękny duży balkon, pod którym był sad i ogromna czeremcha po drugiej stronie drogi rekompensowały te niedogodności. Całymi godzinami obserwowałem ptaki: wilgi, drozdy, szpaki przychodzące na owoce czeremchy. Tuż przy balkonie w pniu jabłoni gnieździł



Prof. Stanisław Warcholik, fot. zb. Muzeum w Bochni

się dzięciołek. Założyłem karmnik i pierwszą fotografię, jaką zrobiłem, był dzięcioł duży przychodzący do karmnika.

Na zimę z góry przenosiliśmy się do salonu państwa Warcholików. Prawdopodobnie matka dogadała się z państwem Warcholikami, aby oni uniknęli przymusowego dokwaterowania przypadkowego lokatora narzuconego przez urząd kwaterunkowy. Państwo Warcholikowie zgodzili się przyjąć nas do swojej willi przy ul. Leponarda 2. Należy wyjaśnić, że po wojnie obowiązywał nakaz określonego zagęszczenia lokali mieszkalnych, domów jednorodzinnych, willi.

Pan Warcholik był miły, otwarty, akceptował moje zainteresowania przyrodnicze. Należał do entuzjastów uprawy morwy i hodowli jedwabników. Sądzę, że w tym miejscu warto nieco czasu poświęcić źródłom tego entuzjazmu ogarniającego wielu Polaków.

Po odzyskaniu przez Polskę niepodległości najcenniejszym wyrazem patriotyzmu była troska o rozwój gospodarczy kraju. Wśród powracających do ojczyzny była rodzina Witaczków wywieziona do Rosji w ramach ewakuacji przemysłu za wycofującą się władzą carską. Wraz z pracownikami Kolei Warszwsko-Wiedeńskiej wywieziony został Stanisław Wita-

czek (1872-1958) wraz z rodziną. Miał on krewnych w stolicy Gruzji w Tyflisie (obecnie Tibilisi) i tam rodzina osiada wśród wielu mieszkających od dawna rodzin polskich, których członkowie zajmowali wysokie stanowiska. Brakowało ludzi wykształconych i rodzina Witaczków szybko znalazła pracę w Kaukaskiej Stacji Jedwabniczej. Stanisław wkrótce awansował tak, że został jej dyrektorem. Syn Henryk (1901-1978), po ukończeniu kursu jedwabnictwa pomagał ojcu jako robotnik w uruchomieniu produkcji poszczególnych działów poczynając od pozyskania surowca, poprzez rozwijanie nici, skręcania nici, tkalnię, farbiarnie. Uczyli się tam też hodowli jedwabników. W obawie przed wkraczającą Armią Czerwoną, po trzech godzinach pakowania dobytku, pod koniec lutego 1921 r.,

Ministerstwe Relnictwa i	Referm Relnych
PARSTWOWY INSTYTUT NAUKOFY GOSPO	DARSTWA WIEJSKIEGO
Oddział Hałepel	ski
ARTWOWY RETYFUT NAUKOWY	
GCSPODARET, A WILDERSEGO	Wr. /3
i neet - Living Lidning ory	***************************************
Crassiff, I and Expendent 2 Mp.	
\$-#-J-5-5-E-F-9	
D 1.()-	
Obywates Prowski Fall	
urednend date A hardne wales	. 18382 Villenter + 14
uczęszozał od dnia fi weje 19981.	Mesore us
Mosqueser od dnia	de dala ukenezył
Kure Jedwab	nictwa
urządzeny p	rzes
FARRYWOWY DOSWIADCZALNY ZAKR	AD JEDWARNICZY W KRAKOWIE
Na kursie przerebiene nastąpujące nag-	
 Ogólne wiadozeńci e jedwabnictwie 	
2) Gespedarka merwewa.	
 Hedewla Jedwahników, 	
4) Przemysł jedwabniczy ludewy i fab:	rycsay.
5) Kalkulacja i rentewneść jedwabnie	twa.
 Zajęcia praktyczne w doświadczalne 	s hedewli.
3	7
Po kursie Ob. In Worsker	
peddalkale dala. /2 willier with 1966 games	singui bion sanka menistra
bardu debryur	
	1. 1.1.
- The state of the	Mrakov ans 10 streem 19492
DYRENTOR Odds.Wake	. P.I.N.G.W.
The state of the s	
./	
Kierewnik Eursu	Kierewnik
e Horantiele	Deśw.Zekładu Jedwab.
Egsaminaterevie	8 40laure
Sguannaterovie	· forour
D'yelawle Willgerko	
Willgerho	wa.
(levant	lue.

Świadectwo ukończenia kursu hodowli jedwabników, Kraków 1949.

udali się na statek płynący do Salonik. Po wielu trudach Henryk wraz z siostrą Stanisławą w tymże roku dotarli do Polski. Henryk zatrudnił się w urzędzie statystycznym, Stanisława jako buchalterka. Praca Henryka wiązała się z wieloma wyjazdami w teren, dzięki czemu mógł poznać prawdziwy obraz ekonomiczny Polski, jej ubóstwo, braki edukacji dzieci. Poprawę sytuacji widział w rozwoju gospodarczym i ponieważ nauczył się jedwabnictwa chciał rozwijać tę mało znaną dziedzinę gospodarki na terenie Polski dającą różnorakie zatrudnienie. Zaczął studiować prawo, a jego siostra biologię. Zamieszkali w Milanówku i na wiosnę 1923 r. sprowadzili pierwsze jajeczka jedwabników i rozpoczęli hodowlę. Pamiętał konstrukcję maszyn używanych w Gruzji i wraz ze stolarzem skonstruowali drewniane urządzenie do rozwijania nici z kokonów i warsztat tkacki. 20 marca 1924 r. na budynku przy ulicy Piasta 13 w Milanówku powiesili tabliczkę z napisem "Centralna Doświadczalna Stacja Jedwabnicza w Milanówku". Wiele lat ogromnego wysiłku Henryka, Stanisławy, ich matki Jadwigi, całej rodziny, wielu sąsiadów, patriotów Milanówka doprowadziło do popularyzacji sadzenia morwy, wybudowania pawilonu doświadczalnego hodowli jedwabników, pawilonu kursów instruktorskich, szkoły jedwabniczej, pawilon edukacyjny hodowców jedwabników. W 1928 r. pawilon produkcyjny opuściły pierwsze tkaniny. Jedwabnictwo rozwijane w Milanówku rozkwitało na tyle, że byli w stanie produkować tkaniny na spadochrony. W 1939 r. możliwe było przyjęcie wielkiego zamówienia dla Armii Polskiej. W tym roku działało 1480 hodowców jedwabników, wśród nich szkoły. Rozwój jedwabnictwa polskiego popierały też Koleje Państwowe sadząc morwę wzdłuż torów i hodując sadzonki. Ministerstwo Sprawiedliwości wprowadziło w 80 więzieniach hodowlę morwy i jedwabników. Podobną akcje rozwinęło Ministerstwo Pracy i Opieki Społecznej w swoich placówkach. Ministerstwo Rolnictwa traktowało tę działalność marginalnie. Dalsze losy Zakładu Jedwabniczego w Milanówku i rodziny Witaszków znajdzie cztelnik w bardzo ciekawej książce pt. *Na rodzinnym jedwabnym szlaku*⁷.

Powracm do mojego życia u państwa Warcholików. Chętnie pomagałem w hodowli jedwabników. Hodowla jedwabników wymaga wiedzy, wielkiej precyzji w postępowaniu na każdym etapie rozwoju gąsienic, np. wyklute z 1 grama jaj wymagają 100g młodych suchych liści (trzeci wyrastający) a przed ostatnim stadium 27 kg. suchych liści. Konieczne jest zachowania higieny, aby uniknąć wielu chorób jedwabników i uzyskać kokony dające dobrą nić⁸. To właśnie z inicjatywy pana Warcholika ukończyłem kurs instruktorów hodowli jedwabników i mam nawet dokument ukończenia tego kursu. Z Państwem Warcholikami mieliśmy serdeczne stosunki nawet po wyjeździe z Bochni. Ostatnią kartkę z pozdrowieniami od państwa Warcholików znalazłem z dnia 14 października 1956 r.

Z Bochnią związane jest umacnianie moich zainteresowań ornitologicznych. Na wycieczki ornitologiczne chodziłem sam, ponieważ nie miałem kolegi, interesującego się ptakami.

W 1948 r. kontrolowałem w Stanisławicach w Puszczy Niepołomickiej 200 skrzynek i opisywałem, co się w nich gnieździło. Dnia15 października 1948 r., kiedy skończyłem 18 lat, powiedziałem mamie, że muszę jak najszybciej zrobić maturę i idę na kurs dla eksternistów. Matka zgodziła się, pożegnałem klasę i przeszedłem na kursy. Uczestnikami kursu byli głównie milicjanci. Korepetycje brałem jedynie z języka



Świadectwo dojrzałości, Państwowe Liceum i Gimnazjum im. Króla Kazimierza Wielkiego w Bochni

polskiego. Maturę mieliśmy zdawać w czerwcu 1949 roku, ale przeniesiono ją na wrzesień. Latem uczyłem się od świtu do nocy. Rano brałem jedzenie, książki i jechałem do Dębiny w Puszczy Niepołomickiej (dziś rezerwat), by tam na pniu wielkiego dębu rozłożyć książki i się uczyć. Przyszła matura, wszystkie przedmioty zdawaliśmy ustnie i pięć pisemnie. 22 września 1949 roku zakończyłem szkołę średnią świadectwem maturalnym i nazajurz pojechałem zdawać egzaminy wstępne na leśnictwo, na Uniwersytecie Jagiellońskim. Wkrótce otrzymałem wiadomość, że z powodu braku miejsc, dostałem się na biologię. W roku 1949 r. nie tyle wyniki egzaminów, co pochodzenie społeczne, decydowało o przyjęciu. Pod koniec paździenika rozpocząłem studia na Wydziale Biologii na UJ, co opisałem bardziej szczegółowo w swojej autobiografii. W Krakowie zamieszkałem w domu rodzinnym na Dębnikach tuż koło Rynku Dębnickiego u Ciotki.

W lutym 1950 r., jak co tydzień, pojechałem do Bochni odwiedzić mamę. Było około 20 stopni mrozu, pożyczyłem łyżwy i szalałem na nich na podwórku gimnazjum, gdzie znajdowało się lodowisko. Buty były trochę ciasne i marzły mi nogi, zatem goniłem, ile się dało. Rano następnego dnia około czwartej rano zaczął mnie boleć brzuch po prawej stronie. Zrobiłem sobie ciepły okład, ale to tylko spowodowało nasilenie bólu. Matka przyszła około godziny 16 ze szkoły, a mnie się już mąciło w głowie; poszła zaraz do dyrektora szpitala, chirurga dr. P. Lubowieckiego, mieszkającego obok nas, który kazał przyjść do szpitala o godzinie 17.00. Lekarz stwierdził ostre zapalenie wyrostka i szybko przygotowywano mnie do operacji, a usypiano wówczas eterem. Sala dla chorych była wielka, mieściło się w niej 20 łóżek. Obok mnie leżał pan, który po operacji popijał wódkę, dalej chłopak, który zimą zamiast przez most przechodził przez rzekę Rabę. Jego stan był bardzo ciężki, w malignie wygadywał okropne rzeczy, klął. To była już posocznicza, wkrótce zmarł. Ja dostałem penicylinę dootrzewnowo i wyzdrowiałem.

Po przyjeździe do Bochni na niedzielę (w soboty były całodzienne ćwiczenia na uczelni) cieszyłem się, że jestem w domu. W latach 1950 i 1951 tylko trzykrotnie pojechałem do Puszczy Niepołomickiej kontynuować badanie jej awifauny. Już na wiosnę 1952 r. dotarła do nas smutna wiadomość, że UJ nie będzie miał prawa prowadzić kursu magisterskiego z zoologii, a tylko Uniwersytet Wrocławski i Warszawski, z tym, że Kraków będzie miał tylko przydział do Wrocławia. Licząc się z tym, że będę musiał opuścić nie tylko Bochnię, ale i Kraków całe lato uzupełniałem swoje obserwacje ptaków w Puszczy Niepołomickiej, aż do 28 września 1952 roku. Już na początku pażdzienika byłem we Wrocławiu jako student tamtejszego Uniwersytetu, ale w listopadzie przeniosłem się na Uniwersytet Warszawski. Jeszcze, żegnając Bochnię 10 lutego 1953 r., wybrałem się rano na nartach do Puszczy Niepołomickiej od Proszówek do stawu po torfie w centrum Puszczy, a wyszedłem z powrotem z lasu o 16.15, o zachodzie słońca jak zapisałem w notesie. Później byłem w Puszczy Niepołomickiej tylko raz w 1984 roku z moim gościem z Japonii Yuzo Fujimaki na całodzienną wycieczkę, gdyż koledzy ekologowie z Krakowa chcieli gościowi pokazać swe tereny badań. Puszcza Niepołomicka była już modelowym obiektem badań wpływu przemysłu na lasy i pracowało w Puszczy kilkudziesięciu ekologów, a samych ornitologów było kilku. W latach 1947-1952 kiedy ja badałem ptaki tego terenu, dostępne były tylko dwa małe artykuły ornitologa austriackiego Ernesta Schauera pracującego tu w XIX w.

Pożegnanie Bochni na zawsze było bardzo smutne. W styczniu i lutym 1953 r. nie dostałem od matki listu, studiowałem już w Warszawie, więc zaraz na początku ferii zimowych pojechałem do mamy do Bochni. Mamę zastałem chorą, miała daleko posuniętą nadczynność tarczycy, nie umiała już pisać. Powiedziała mi, że jest śmiertelnie chora i poleciła mi jechać do Zakopanego. Dzięki cioci Joannie Świszczowskiej udało się mamę umieścić w szpitalu przy ulicy Kopernika w Krakowie. Według ówczesnej sztuki lekarskiej do operacji tarczycy można było przystąpić tylko w określonym stanie pacjenta. W przypadku mamy spodziewali się stan taki osiągnąć dopiero w czerwcu, ale dobre efekty leczenia umożliwiły operację już w kwietniu. W lipcu mama przyjechała do Dziekanowa, gdzie zbierałem materiały do swej pracy magisterskiej i dzięki uprzejmości dyrektora, Jerzego Lutza, zamieszkała w Sanatorium Przeciwgruźliczym w nowo zbudowanym budynku jeszcze nie oddanym do użytku. W latach późniejszych byłem w Bochni kilkakrotnie zawsze gościnnie witany przez spowinowaconą rodzinę Wnęków z ul. Brzeskiej.

W Brzesku po wojnie, najpierw byłem z matką w Gimnazjum i Liceum w palacu Götza w Okocimiu a następnie w połowie lat 60. w Brzesku. Odwiedzilem na Brzozowieckiej dom Klimków, ale zastałem tylko seniora Jana Klimka. Od Strony Targowicy, na końcu ogrodu, stał już nowy dom. O czym rozmawialiśmy nie pamiętam. Jan Klimek zmarł w 1987 r., a jego żona Rozalia w 1981 r.9

W domu Mleczków Brzowiecka 15 zastałem też tylko seniora Piotra Mleczkę. Opowiadal mi o swoich losach w czasach wojny i po wojnie, których treści nie pamiętam, a także pokazywał jakieś odznaczenia. Zmarł w roku 1975 (ur. XI 1890)¹⁰.Prawdopodobnie od Piotra Mleczki dowiedzialem się, że Tadek Mleczko–jego syn, a mój przyjaciel, pochowany jest na Cmentarzu Starym przy ul. Kościuszki. Z Brzowieckiej poszedłem na Cmentarz Stary i odnalazlem grób Tadka.

Znów byłem w Brzesku w 1988 lub 1989 r. zwiedziłem miasto, rynek, wspminałem sobie wizyty z mamą u fryzjera, na rogu rynku od strony ratusza i ul Kościuszki i jego właściciela niskiego pana z wielkim brzuszkiem. Byłem na coraz bardziej zabudowanym Placu Kazimierza Wielkiego, drewniany dom stolarza Gdowskiego, w którym mieszkaliśmy, stał pusty, opuszczony, w otoczeniu bloków, moje przedszkole na rogu ul. Ogrodowej i Placu Kazimierza Wielkiego działało.

Powędrowalem dalej na ulicę Brzozowiecka 7 i tutaj zastałem Janinę Mleczko, teraz po mężu Piechowicz, jej młodszą siostrę Halinę urodzoną po wojnie. Janina opowiadala mi o Marianie, swoim bracie, który był wówczas dyrektorem liceum na Śląsku, wiedziałem tylko, że ożenił się z moją koleżanką z Bochni, Cempówną, którą codziennie spotykałem w bocheńskim Liceum, ale była w innej klasie i te kontakty z nią były słabe. Janina Piechowiczowa wyjechała do syna do USA.

W czasie mego pobytu u Klimków odwiedził matkę jej syn, Jacek z żoną, ginekolog z Dębicy. Chyba z nimi pojechaliśmy na cmentarz komunalny do grobu rodziców Rozalii i Jana Klimków. W miejcu 3 drewnianych krzyży, cmentarza cholerycznego i marnych, na piaszczstych glebach pól uprawnych, był rozległy cmentarz a teren był zabudowany.

Po obiedzie pożegnałem gościnny dom Klimków i powędrowałem na cmentarz wojskowy, miejsce moich częstych

wycieczek w latach mieszkania 1934-1935 u Kimkow. (...) Te same groby z pierwszej wojny światowej i tylko jeden świeży grob milicjanta, ktory zginął w walce z powojenną partyzantką. A naokoło zabudowa miejska.

W Brzesku byłem 1 października 1977 r., obszedłem stare miasto, byłem też na ul Brzozowieckiej 7, ale w domu Mleczków już nie zastałem żadnej znajomej osoby.

14 listopada 2018 r. wyszła drukiem moja książka pt. Z ptakami przez życie, autobiografia ornitologa, ekologa i postanowiłem mieć pierwsze spotkanie autorskie w Brzesku, gdyż najwcześniejsze wspomnienia mam z 1934 r. właśnie z Brzeska, a bardzo nikłe z Krakowa z 1933 r. Dzięki zaproszeniu mgr Jerzego Wyczesanego i mgr Małgorzaty Cuber, spotkanie odbyło się w Brzeskim Domu Kultury. Po spotkaniu pani Małgorzata zebrała mnie do kamienicy Mleczków, do naszgo przdwojennego mieszkania na pierwszym piętrze. Było to dla mnie wielkie przeżycie. Szkoda tylko, że to była ciemna listopadowa noc. Do Brzeska jechaliśmy samochodem z Bochni i wielkim zaskoczeniem była dla mnie ciągłość zabudowy szosy między tymi dwoma miastami.

Prof. Jan Krystyn Pinowski, ornitolog, w latach 1954-2000 pracował w Instytucie Ekologii PAN w Warszawie. Jego dorobek naukowy obejmuje 347 publikacji. Był wieloletnim przewodniczącym Sekcji Ornitologicznej Polskiego Towarzystwa Zoologicznego. Jest członkiem licznych towarzystw naukowych w różnych krajach świata. Organizował 13 kongresów naukowych w świecie. Był wiceprezydentem XX Międzynarodowego Kongresu Ornitologocnego w Nowej Zelandii.

Jest absolwentem bocheńskiego Liceum z 1949 r. Utrzymuje kontakty z Bochnią. W 1988 r. mimo zaproszenia na uroczystości 170-lecia Gimnazjum w Bochni, z powodów służbowych nie mógł w nich uczestniczyć, lecz wysłał list z sedecznym wspomnieniem szkolnych lat. W 2015 r. w bocheńskim Muzeum wygłosił wykład. Jest członkiem warszawskiego oddziału naszego stowarzyszenia. Od lat współpracuje z redakcją "Wiadomości Bocheńskich".

Przypisy:

- M. Stolarczyk. Między wojnami światowymi 1919–1939, w: Brzesko. Dzieje miasta i regionu. Red. F. Kiryka i J. Lacha, wyd. Urząd Miejski w Brzesku, Brzesko 2006 r., str. 383-519.
 Z. Łempicki. Świat i Życie, Zarys Encyklopedyczny Współczesnej Wiedzy i Kultury, tom 5, Książnica-Atlas, Lwów-Warszawa, 1939 r.
- ³ J. Pinowski. *Miasto mojej młodości*, w: *Brzeski Magazyn Informacyjny*, grudzień 1997, nr 12 (64), str. 24-25.
- ⁴ A. Skoczek. *Rozwój kultury w latach powojennych*, w: *Brzesko. Dzieje miasta i regionu*. (op. cit.), str. 959-999.
- ⁵ J. Żukowska-Łyko. *Historia życia codziennego i obyczajności.* Judaistyka.
- ⁶ J. Chrobaczyński. *W latach wojny i okupacji niemieckiej* (1939–1945) w: *Brzesko. Dzieje miasta i regionu.* (op. cit.), str. 599-712.
- ⁷ J. Prosińska-Giersz. *Na Rodzinnym Jedwabnym Szlaku*, wyd. Oficyna Wydawnicza Wolumen, 2021 r., str. 385.
- ⁸ J. Kremky, M. Szuba *A... B... C... Hodowcy Jedwabników*, Laboratorium Jedwabiu Naturalnego w Milanówku, Biblioteczka dla praktyków, Warszawa 1969 r.
- ⁹ http://www.cmentarze.brzesko.pl Brzeskie Nekropolie.
- ¹⁰ Informacja Małgorzaty Cuber z domu Mleczko.

Tekst jest zmienioną nieco wersją wspomnień Autora, publikowanych w książce Jan Krystyn Pinowski: *Z ptakami przez życie, autobiografia ornitologa - ekologa* wydana przez Muzeum i Instytut Zoologii PAN, 2018, Warszawa.

Nichola Lawton (Raye, Wielka Brytania)

Z Bochni do Birmingham cz. 3–Z Włoch do Anglii

Włodzimierz Białek urodzony w Bochni w 1912 r. ukończył bocheńskie gimnazjum w 1933 r. Studia na Wydziale Prawa UJ przerwał wybuch II wojny światowej. Brał udział w kampanii wrześniowej, a po klęsce zaangażował się w pracę konspiracyjną we Lwowie: ZWZ, POWW i AK. Używał psudonimów "Zych" i "Kazik". Był oficerem AK Obszaru Lwów w Inspektoracie Drohobycz. Od lipca 1944 r. walczył w oddziałach leśnych "Watra" na Rzeszowszczyźnie.

W styczniu 1945 r. awansowany został do stopnia kapitana i mianowany do odznaczenia Krzyżem Walecznych. Zagrożony aresztowaniem przedostał się w sierpniu 1945 r. do Włoch, do stacjonującej tam jeszcze armii gen. Andersa. Razem z żołnierzami II Korpusu WP wyjechał do Anglii.

Historię życia Włodzimierza (Włodka) Białka opowiedziała jego córka Nichola Lawton urodzona i wychowana w Wielkiej Brytanii i tam mieszkająca do dziś w miejscowości Rye w hrabstwie East Sussex. Na łamach "Wiadomości Bocheńskich "publikowaliśmy pierwszą i drugą część tych wspomnień: nr 1- 2/2018. Teraz przedstawiamy część trzecią. W styczniu 1945 r. Churchill zgodził się na żądania Stalina podczas Konferencji Jałtańskiej pomimo, że był dobrze poinformowany o jego morderczych kampaniach, nie kończących się czystkach i masakrze tysięcy polskich oficerów w Katyniu w 1940 r.

Kilkanaście tygodni później, 28 marca 1945 r., 16 ważnych członków Polskiego Państwa Podziemnego, łącznie z Komendantem Głównym Armii Krajowej generałem Okulickim i członkami rządu Rzeczpospolitej Polskiej na uchodźstwie, zostało zaproszonych na rozmowy w Warszawie, otrzymując gwarancje bezpieczeństwa. Zostali aresztowani przez władze sowieckie i zabrani do Moskwy, gdzie byli torturowani przez wiele tygodni i zmuszani do przyznania się do anty-sowieckiej działalności.

Polacy walczący w ruchu oporu (tak jak Włodek) i żołnierze, którzy walczyli "na zachodzie" byli lojalni wobec polskiego rządu na uchodźstwie (który w Polsce nie był uznawany) i sprzeciwiali się komunizmowi. Ci polscy żołnierze teraz byli rozdarci pomiędzy wyborem; powrót do Polski (oraz prawdopodobieństwem zmierzenia się z prześladowaniami), a pozostaniem na Zachodzie.

Churchill wygłosił w radiu przemówienie do polskich wojsk, wyjaśniając, że musi oddać część Polski z uwagi na linię Curzona, a mianowicie, wschodnią część Polski, która była ojczyzną większości żołnierzy II Korpusu Polskiego. Zakończył, mówiąc, że "po wojnie, gdybyście chcieli wrócić do domu, możecie, ale jeżeli nie, jesteście mile widziani w Anglii, która zapewni wam pracę i dom".

17 września 1945 roku kapitan Włodzimierz Władysław

BIAŁEK (Włodek) przybył do Włoch, gdzie otrzymał angaż jako kapitan Kadry Oficerów Rezerwy w II Korpusie Polskim, 7 Dywizja Piechoty. W II Korpusie Polskim już służył Menachem Begin (przyszły prezydent Izraela) i brunatny niedźwiadek "kapitan Wojtek". Z powodu swojej waleczności, Korpus miał wielkie uznanie i był szanowany przez wojska alianckie -amerykańskie oraz wojska Wspólnoty Brytyjskiej. Jednak już wtedy wojsko czuło się rozczarowane Winstonem Churchillem i Brytyjczykami. II Korpus Polski stracił ducha walki. 1 grudnia 1945 roku Włodek został oficerem oświatowym w Oddziale 2 Sztabu Głównego Korpusu Polskiego, Baza Wojskowa (Education Officer at HQ2, Polish Corps, Troops Base) II Korpus Polski nadal odbywał ćwiczenia, przygotowując się do ewentualnego wybuchu trzeciej wojny światowej między Sowietami i mo-

carstwami zachodnimi, której rezultatem, mieli nadzieję będzie wolna Polska.

W dniu 8 czerwca 1946 r. miała miejsce w Londynie wielka Parada Zwycięstwa. Było to niezrozumiałe, że Polakom nie pozwolono w niej uczestniczyć. Wystosowano zaproszenie do Komunistycznej Polski, aby wysłano wojsko do udziału w Paradzie, lecz Moskwa kazała odrzucić zaproszenie. W rezultacie zaproszono niewielką grupę polskich pilotów, którzy walczyli w Bitwie o Wielką Brytanię, ale odrzucili zaproszenie, solidaryzując się z innymi wolnymi polskimi siłami zbrojnymi, których nie zaproszono. Dla polskich żołnierzy w Zjednoczonym Królestwie i we Włoszech była to gorzka i wielka zniewaga.

Dziesięciu posłów Parlamentu Zjednoczonego Królestwa podpisało list opublikowany w *Daily Telegram* w czerwcu 1946 r., w którym wyrazili sprzeciw wobec takiego traktowania Polaków:

"Setki Polaków poległo na Monte Casino. Polacy walczyli w Tobruku, Falaise i Arnhem. Polscy piloci zestrzelili 772 niemieckich samolotów. Polskie Siły Zbrojne, które walczyły pod brytyjskim dowództwem nie zostały zaproszone na Marsz Zwycięstwa dnia 8 czerwca. Będą tam Etiopczycy, będą Meksykanie, będą wojskowe służby medyczne Fidżi, policja z wy-

spy Labuan oraz wojsko z Seszeli-i słusznie. Ale Polaków tam nie będzie."

Po wojnie dywizje II Korpusu Polskiego stacjonowały w pobliżu Ankony we Włoszech aż do 1946 roku. Wtedy żołnierze w liczbie 103 000 zostali przetransportowani do Wielkiej Brytanii i zdemobilizowani. W sierpniu 1946 r. przetransportowano dwie dywizje (w tym transporcie był też Włodek Białek). Ostatni żołnierze Korpusu opuścili Włochy 31 października 1946 r. i wtedy, na końcu, wyjechał sam gen. Anders. Niektórzy żołnierze udali się prosto do Polski z różnych powodów, wielu z nich pragnęło połączyć się ze swo-

ją rodziną. Lecz Polska była teraz rosyjskim państwem satelitarnym, które z niechęcią odnosiło się do polskiego rządu na uchodźstwie. Pierwsi żołnierze, którzy wrócili do Polski doznali bardzo bolesnego powitania, przejawiającego się w różny sposób, od utraty obywatelstwa i stopnia wojskowego do rozstrzelania oficerów. To jeszcze bardziej zaniepokoiło polskich żołnierzy, zdanych na własne siły w Zjednoczonym Królestwie. Nie dziwi więc to, że większość żołnierzy pozostała na uchodźstwie i osiedliła się w Wielkiej Brytanii!

7 sierpnia 1946 Kapitan Włodzimierz Władysław BIAŁEK (Włodek) przybył do Anglii, prawdopodobnie do Liverpoolu. Nie był to kraj, do którego kiedykolwiek zamierzał pojechać, co dopiero tam mieszkać. Nie znał języka i niewiele wiedział o tym kraju i jego ludziach. Znał Szkocję i jadł haggis¹, ale ostatecznie przybył do Londynu!

Od 7 sierpnia 1946 r. do 24 czerwca 1947 r. Włodek nadal służył jako oficer oświatowy w Oddziale 2 Sztabu Głównego Korpusu Polskiego, Baza Wojskowa, (Education Officer at HQ2, Polish Corps, Troops Base), teraz już w Anglii.

We wrześniu 1946 r. rozpoczęto rekrutację do Polskiego Korpusu Przysposobienia i Rozmieszczenia (ang. Polish Resettlement Corps–PRC, pol. PKPR). Była to formacja umundurowana, nieuzbrojona, stworzona w celu przysposobienia polskich żołnierzy i uchodźców do życia cywilnego w Wielkiej Brytanii. Około 160 000 osób kwalifikowało się do wstąpienia w jej szeregi, większość z nich to członkowie II Korpusu Polskiego. Korpus Przysposobienia i Rozmieszczenia miał swój sztab w Witley, hrabstwo Surrey i był dowodzony przez Generała Brygady Williama Bain Thomas'a oraz polskiego Generała Dywizji Stanisława Kopańskiego.

Członkowie PKPR byli wolontariuszami. Zgłosili się do służby na dwa lata, ale mogli odejść w każdej chwili, stając się członkami Korpusu Rezerwy do upływu dwóch lat ich służby. Członkowie Korpusu (Rezerwy) nadal byli wojskowymi i podlegali wojskowej dyscyplinie brytyjskiej oraz brytyjskiemu prawu wojskowemu. Rozlokowano ich w obozach wojskowych i otrzymywali płacę według normalnych stawek Brytyjskich Sił Zbrojnych, stosownie do ich rangi. Byli zareje-



We Włoszech, Włodek z prawej strony (wł. pryw.)



Włodzimierz Białek ok. 1945 r. (wł. pryw.)

strowani jako bezrobotni w lokalnych biurach pośrednictwa pracy (daw. Labour Exchanges), zapewniano im szkolenia w języku angielskim i albo byli szkoleni do zawodu, albo zatrudniani przy pożytecznych projektach, z nadzieją, że zwiększy to ich szanse na otrzymanie pracy w cywilu, mając na celu pracę w sektorach brytyjskiej gospodarki, która cierpiała na brak rąk do pracy w takich dziedzinach jak górnictwo, budownictwo, przemysł

ciężki i rolnictwo. Spora ich liczba przeszła przeszkolenie zawodowe, łącznie z tym na poziomie uniwersyteckim. Jeśli była możliwość, osoby będące na ich utrzymaniu także były sprowadzane do Zjednoczonego Królestwa.

Włodek wstąpił do PKPR 25 czerwca 1947 roku, mianowany jako podporucznik, ale płacono mu tak jak kapitanowi. Został wysłany z innymi Polakami do Foxley Camp 2/110– obozu przesiedleńców na wsi w pobliżu Mancell Lacy, Hereford. Obozy przesiedleńców były zarówno dla obcokrajowców na uchodźstwie, jak i miejscowych Anglików, którzy stracili swoje domy w czasie bombardowań. Lecz nie były one idealne do zamieszkania przez rodziny na dłuższy okres czasu. Foxley Camp był na początku amerykańsko-kanadyjskim obozem wojskowym w czasie II Wojny Światowej i mieściły się w nim dwa szpitale. Był zbudowany z pustaków (niektóre obozy były przykryte dachami z blachy falistej lub brezentem), ale wygód było niewiele. Prysznice i toalety znajdowały się w odległości pół mili od części mieszkalnej. Jednakże był wyposażony w kino, salę gimnastyczną i kościół pod wezwaniem Matki Boskiej Ostrobramskiej. Włodek uczył się historii Polski i języka angielskiego, a także miał możliwość uczęszczać na kursy zawodowe, przygotowujące do przyszłej pracy. Poza tym wiódł typowe życie polskiego wojskowego.

Chociaż rząd brytyjski użyczył gościny rządowi polskiemu na uchodźstwie i docenił trud Polaków podczas II Wojny Światowej, teraz odciął się od niego i bardziej popierał swojego sojusznika–Rosję–nie chcąc go denerwować! Tak więc po Traktacie Jałtańskim Polacy w Anglii znaleźli się w trudnym położeniu. Byli mocno naciskani do wyjazdu do domu, a nawet proponowano im materialną zachętę, ale dla Włodka nie było to dobre wyjście. W czasie wojny walczył z NKWD we Wschodniej Galicji. Był pewny, że gdy wróci do Polski, jego rodzina będzie szykanowama, może aresztowana i torturowana. On sam może być zabity. Z tego powodu zerwał wszelkie więzi ze swoją rodziną, aby zapewnić im bezpieczeństwo i w ogóle nie wiedział co się z nimi stało podczas wojny.

Przed wojną Włodek studiował prawo na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie, lecz z powodu wojny nie mógł zdać swojego ostatniego egzaminu, który był przełożony na wrzesień (1939 r.) Jego plany by zostać prawnikiem przepadły, zresztą nie umiał jeszcze mówić dobrze po angielsku. Te-

raz musiał wykonywać pracę, której nie potrzebował ani nie chciał wykonywać Anglik. Zagraniczni jeńcy wojenni zostali zwolnieni i wyjechali do domu, pozostawiając mnóstwo pracy na roli, którą trzeba było wykonać. Tak więc Włodkowi zaproponowano prace rolne (bał się krów), dalekomorskie połowy ryb (bardzo źle znosił chorobę morską), pracę w kopalni (co nie wchodziło dla niego w rachubę) i kilka innych całkowicie nieodpowiednich opcji. Był tak zdesperowany, że stracił ochotę do życia.

Od dzieciństwa wykazywał zdolności artystyczne i w szkole lubił stolarkę, więc w końcu w Foxley Camp zaproponowano mu w okresie od 20 grudnia 1947 r. do 6 czerwca 1948 r. kurs grawerowania, aby mógł pracować jako grawer w branży jubilerskiej. We wrześniu 1948 otrzymał dokument ze Szkoły Rękodzieła Artystycznego w Hereford (Hereford School of Arts and Crafts), świadczący o odbyciu 2-letniego kursu z dziedziny wyrobów srebrnych i biżuterii, gdzie był jednym z najbardziej obiecujących uczniów jakiego kiedykolwiek kształcono z tego przedmiotu! Wtedy nie miał pojęcia, że kowalstwo artystyczne i jubilerstwo były najgorzej opłacaną branżą w Anglii–nie dziw, że Anglicy nie byli zbyt chętni aby podejmować taką pracę.

Na szczęście Włodek kierowal się zasadą, że jedyną rzeczą, której nie można odebrać człowiekowi jest jego wykształcenie, a pilność i umiejętność uczenia się bez wątpienia wyniósł z bocheńskiego gimnazjum. W październiku 1947 r. zdobył wojskowe świadectwo ze znajomości języka angielskiego na poziomie zaawansowanym (Army Certificate of English –Advanced Level).

W końcu udało mu się zatrudnić w charakterze grawera w Birmingham, w fabryce H. Samuela (produkującej masowo bizuterię o niskiej jakości), gdzie zaczął pracować od 6 września 1948 r. Przeprowadził się do Birmingham i musiał nosić w kieszeni kartkę, na której było napisane "Ten człowiek jest cudzoziemcem. Nie wolno mu dawać pracy, która może być wykonywana przez Anglika". Musiał także znosić kontrole policyjne, odbywające się w celu sprawdzenia czy nadal ma tę samą pracę i mieszka pod tym samym adresem. Grawerował ozdobne wzory na takich wyrobach jubilerskich, jak spinki do mankietów i bransoletki oraz napisy na pierścionkach i bransoletkach. Jednak wkrótce uznał, że jest to bardzo nudna, monotonna praca-praca przy wzorach, które mu się wręcz nie podobały! Tak więc zapisał się Szkoły Jubilerskiej w Birmingham (Birmingham School of Jewellery), aby się szkolić jako znawca kamieni szlachetnych-gemmolog. 24 czerwca 1949 r. zrezygnował ze służby w Polskim Korpusie Przysposobienia i Rozmieszczenia.

Birmingham ma to szczęście, że posiada niezależny obszar znany jako "Dzielnica Jubilerska". Jest to główny obszar przemysłu złotniczego w Zjednoczonym Królestwie. Jest on także unikalny na skalę światową z tego względu, że jest mieszaniną przebudowanych osiemnastowiecznych domów, otoczonych późniejszymi wiktoriańskimi fabrykami, które w całości są firmami jubilerskimi. Jest to zamknięta społeczność, w której wszyscy się znają, w dużej mierze reprezentowana przez środowisko żydowskie. Wielu jubilerów pracuje w małych, jednoosobowych warsztatach, w zaułkach tej niezwykłej dzielnicy. Drzwi tych warsztatów mają małe okienko (gdy się otwiera, widzisz tylko oczy jubilera), przez które przekazuje się zapytania, metalowe komponenty i kamienie szlachetne.

Mówi się, że pub mieszczący się najbliżej Zegara Chamberlaine'a (Chamberlain's Clock) w centrum, w każdym roku robi fortunę–ze sprzątania dywanów i tapicerki siedzeń–gdyż jubilerzy przynoszą drobinki złota we włosach i na swoich ubraniach, a one spadają na siedzenia i podłogę. Gemmolodzy w ten sam sposób przenoszą czasem, całkiem nieświadomie, małe odpryski diamentów (...).

Włodkowi, jako wykwalifikowanemu gemmologowi, udało się zdobyć pracę w firmie Peyton Pepper Ltd w charakterze kupca diamentów. Firma ta produkowała wyroby jubilerskie wysokiej klasy, które były sprzedawane w Harrodsie (Harrods –prestiżowy dom towarowy w Londynie) oraz w innych luksusowych sklepach jubilerskich. Firma Peyton Pepper miała kupca kruszcu, którego zadaniem było kupno złota i szlachetnych metali.

Włodek kupował szlachetne kamienie (diamenty, szmaragdy, rubiny, szafiry i perły), które miały być użyte do produkcji pierścionków, bransoletek, naszyjników, kolczyków i broszek do ozdoby dla wielu pań z wyższych sfer w latach pięćdziesiątych. Lecz nadal była to niskopłatna praca!

Włodek zakochał się w diamentach. Ze wszystkich kamieni szlachetnych lubił je najbardziej i udawało mu się kupować najlepsze. Wolał niebiesko-białe diamenty z Afryki Południowej, cięte w Amsterdamie lub Antwerpii. Wtedy preferowano białe diamenty o szlifie brylantowym: ozdobne diamenty nie były tak popularne ani tak cenne jak dzisiaj. Każdy diament ma swój własny, unikalny "podpis" i często je sobie przypominał gdy znów trafiały do jego biura.

Żydowscy kupcy diamentów zawsze przychodzili spotkać się najpierw z Włodkiem, gdy tylko przyjeżdżali do Birmingham. Dlatego zawsze miał najlepszy asortyment kamieni. Wolał nie podróżować w celu dokonania zakupu kamieniczuł się bezpieczniej, pozostając w Birmingham, z dala od NKWD. Kamienie przysyłano w małych, papierowych paczuszkach, wyłożonych bibułką. Pierwszym jego zadaniem było oszacowanie diamentów sprawdzając cztery parametry. Patrzył na szlif (kształt i jakość cięcia), kolor (nieliczne diamenty są bezbarwne i miewają zażółcenia), czystość (ilość inkluzji lub nieczystości w kamieniu) oraz masę (ciężar i wymiary kamienia). Wtedy mógł oszacować wartość handlową kamieni. Po odrzuceniu wszystkich kamieni gorszej jakości, Włodek zaczynał się targować z kupcem aż do uzgodnienia ceny zakupu.

Wkrótce zdobył renomę w sztuce dobierania barw. Większość osób rozdzielało paczuszkę kamieni na 4 kolory, potem znów je dzielono. Włodek umiał je rozdzielić na początku na 10 kolorów, potem znów dzielił, co dawało lepszy wynik. (Czy była to jeszcze jedna zdolność słynnych polskich oczu, które odnosiły tak wielkie sukcesy w Bitwie o Wielką Brytanię?). Doszło do tego, że kupcy diamentów przychodzili do niego i prosili żeby dobierał kamienie dla ich indywidualnych projektów.

Wkrótce Włodek przeprowadził się do Handsworth, północnej dzielnicy Birmingham, zamieszkałej w dużej mierze przez społeczność polską. W tym okresie, liczba Polaków



Portret Włodzimierza Białka wykonany przez kolegę, malarza amatora, (wł. pryw.)

w Birmingham nigdy nie przekraczała trzech tysięcy. Społeczność polska była odbiciem polskiego społeczeństwa i obejmowała: profesjonalistów, robotników, intelektualistów, dwóch generałów, profesorów, sędziów, nauczycieli i lekarzy. Zycie w Anglii koncentrowało się wokół Kościoła Katolickiego, tak jak w Polsce. Rząd brytyjski przestał uznawać Polski Rząd na Uchodźstwie w roku 1946. Tak więc powstało Zjednoczenie Polskie w Wielkiej Brytanii (The Federation of Poles), aby opiekować się organizacjami społecznymi oraz organizacjami zrzeszającymi różne zawody. Organizacja ta była zaniepokojona, że w Polsce, Polacy byli teraz poddawani rusyfikacji oraz że język polski i kultura były zwalczane. Dlatego zachęcała ona polskie społeczności w Zjednoczonym Królestwie do tego, aby chroniły swoje

tradycje i ostrzegały przed asymilacją w społeczeństwie brytyjskim. Nie zachęcała do naturalizacji w Wielkiej Brytanii. Próbowała ograniczyć kontakty polsko-angielskie, w szczególności martwiła się o młodych Polaków, którzy uczyli się w angielskich szkołach. Wkrótce utworzono szkoły sobotnie dla dzieci i młodzieży polskiej w celu nauczania i zachowania języka polskiego, a także wartości polskiej kultury wśród młodych ludzi.

Poza pracą Włodek miał styczność głównie z kolegami z Polski oraz z Towarzystwem Angielsko-Polskim z Birmingham (Birmingham Anglo-Polish Associacion). Powstało ono w 1944r. i miało na celu promowanie przyjaźni i zrozumienia pomiędzy Polakami i Anglikami. Większość działań było skupionych wokół Uniwersytetu w Birmingham i obejmowały one wykłady oraz zajęcia towarzyskie. Minął jakiś czas zanim spotkał wystarczającą liczbę Anglików, żeby zrozumieć, że mówią bez przerwy o pogodzie (zamiast się przedstawić) i że na pytanie "How are you?" ("Jak się masz?") spodziewają się odpowiedzi "I'm very well, thank you" ("Dziękuję, bardzo dobrze"), nie zaś listy wszystkich dolegliwości!

Lubił też sport i wnet zapisał się do Towarzystwa Tenisowego Dzielnicy Edgbaston, przy Priory Lawn (Edgbaston Priory Lawn Tennis Society). Grał bardzo dobrze w tenisa i zawsze mówił, że przed wojną miał ambicję, żeby zagrać na Wimbledonie. Podzielał też pasję Anglików do piłki nożnej i zaczął uczęszczać na mecze West Bromwich Albion Football Club.

Bez polskiej społeczności w Handsworth, dzielnicy Birmingham, mieszkając w wynajętym pokoju Włodek byłby bardzo samotny. Wynajmował jeden pokój w domu w Handsworth w Birmingham. Jego angielska gospodyni była kiepską kucharką (w przeciwieństwie do jego matki). Gotowała główny posiłek w południe, następnie podgrzewała go na wolnym ogniu nad rondlem z wodą aż do powrotu lokatora do domu, sześć godzin później! Zawsze wiedział co będzie jadł, ponieważ gotowała tylko siedem różnych zestawów obiadowych to samo tego samego dnia w każdym tygodniu. Nie mając angielskich przyjaciół, myślał, że była to typowa angielska kuchnia! Później zdziwił się gdy odkrył, że większość Anglików stosuje bardziej zróżnicowaną, pożywną dietę!

Włodek jednak uważał się za szczęśliwca. Znał wielu wybitnych Polaków (dawnych sędziów i generałów), którzy byli zmuszeni pracować w charakterze zwykłych robotników, zamiatając w fabryce i żyjąc na granicy ubóstwa. Lecz przestawienie się na życie w Anglii nie zawsze było łatwe. Anglia, jak reszta Europy, cierpiała na powojenną depresję gospodarczą. Niestety, wyzwalało to pewne najgorsze cechy społeczeństwa brytyjskiego, łącznie z rasizmem. Wiele starszych osób nic nie wiedziało o Polsce ani o tym jak Polacy pomogli Anglii wygrać wojnę. Byli jedynie przerażającymi cudzoziemcami, którzy mówili niezrozumiałym językiem, dlatego Anglicy po prostu chcieli, aby wyjechali do domu! Jednak tak nie było w przypadku młodych Angielek. Wiele z nich pociągały czarujące maniery Polaków, ich środkowoeuropejski wdzięk i szybko wychodziły za mąż za polskich żołnierzy! Tak więc wielu Brytyjczyków postrzegało Polaków jako tych, którzy kradli ich prace, ich domy i nawet ich kobiety i nie chcieli wyjechać do domu. To sprawiało, że zachowywali się wrogo przy każdej sposobności!

Włodek zawsze miał w sercu królewski Kraków. Jednak w młodości pracował w Sosnowcu i spędzał czas w Katowicach. Cenił nowoczesne budownictwo i architekturę. W czasie (w średniowieczu) gdy Bochnia była już ważnym solnym miastem, Birmingham, tak jak Katowice były tylko wioskami. Losy tych miast zmieniły się. Rewolucja Przemysłowa sprawiła, że dla świata, miasto Birmingham stało się "pudełkiem na zabawki", podczas gdy Bochnia została zapomniana przez Wiedeń². Właśnie połączenie branży, takich jak broń i biżuteria, jak z katapulty wystrzeliło Birmingham na drugie miejsce wśród miast Wielkiej Brytanii. Być może to właśnie ta nowoczesna witalność zainspirowała Włodka. Chociaż, być może pociągała go anonimowość w dużym mieście, gdzie NKWD miałoby trudności ze znalezieniem go! Z pewnością obsesyjnie obawiał się NKWD i KGB.

Około roku 1957 Włodek zakochał się w angielskiej dziewczynie, jak mówiono w angielskiej róży. Nie widział

końca okupacji sowieckiej w Polsce, więc postanowił zostać Anglikiem i osiedlić się w Anglii na stałe. Postanowił zanglicyzować swoje nazwisko i imię i wybrał Walter BYLAKE. Bywało tak, że gdy szedł do pralni chemicznej, podawał swoje polskie nazwisko i ekspedientka zazwyczaj nie rozumiała, lecz coś bazgrała na kwicie. Z rozbawieniem przypominał sobie, że teraz ma angielskie nazwiskoproszono go aby je przeliterował! Jego narzeczona była protestantką więc zaczął uczęszczać na spotkania Religijnego Towarzystwa Przyjaciół (Kwakrów). Przyjął także obywatelstwo brytyjskie. Zawsze mówił, że jedyna rzecz, którą mógłby jeszcze zmienić to jego płeć, ale to nie wchodziło w rachubę!

Garrads, jubiler królowej Anglii, poprosił kiedyś Włodka, aby wybrał dla królowej szafir. Z różnych stron świata przysłano drogą lotniczą kilka ogromnych szafirów do jego biura w Birmingham (które było wyposażone w specjalne, sprowadzone ze Szwajcarii okienko berylowe, służące do poprawy jakości światła). Do Włodka należał wybór. Prośba ta nie wywarła na nim wrażenia–z radością przyjął wiadomość, że spodziewali się spotkać człowieka z Europy kontynentalnej a znaleźli angielskiego dżentelmena!

W dniu przyjazdu do Anglii Włodek miał bryłki bursztynu w kieszeni swojej marynarki. To wkrótce się zmieniło. Do dnia swojej śmierci zawsze nosił w kieszeni marynarki małą papierową paczuszkę z diamentami traktując je jako inwestycję. Było to jego ubezpieczenie na wypadek gdyby musiał zmienić kraj i zacząć wszystko od nowa.

Tłumaczyła Anna Londo

Przypisy:

- ¹ hoggis to danie z owczych podrobów uważane za szkocką potrawę narodową.
- ² Toybox in the World–pudełko na zabawki, tak określano Birmingham z racji przemysłu zabawkarskiego i jubilerskiego.

Marta Czerewko (Bochnia)

Zbigniew Drzewiecki

Okruchy z historii muzyki....

Rok 1927. W Sali Filharmonii Warszawskiej rozbrzmiewają nokturny, polonezy, walce, mazurki F. Chopina, interpretowane przez młodych pianistów, którzy zdecydowali się uczestniczyć w I Międzynarodowym Konkursie noszącym imię polskiego kompozytora. To dopiero początek tej pięknej imprezy muzycznej. Zainicjowana przez Jerzego Żurawlewa¹, wybitnego pianistę i pedagoga trwa do dziś, przybrawszy rozmiar wydarzenia artystycznego zakrojonego na skalę światową.

Jaki cel przyświecał Żurawlewowi, gdy myślał o zorganizowaniu Konkursu Chopinowskiego? Czy chodziło mu jedynie o współzawodnictwo uczestników, podobnie jak to ma miejsce w sporcie? Zapewne i to brał pod uwagę, ale głównym celem miało być oczyszczenie muzyki Chopina z ckliwego sentymentalizmu i związanych z nim manier interpretacyj-

nych, które pojawiały się w wykonaniach salonowych, tak modnych po śmierci kompozytora. Jury Konkursu, składające się z międzynarodowych ekspertów, miało zatem nagrodzić uczestników wykonujących utwory Chopina jak najbardziej zgodnie z przyjętymi kryteriami czystości stylu.

Przygotowania do I Konkursu trwały kilka lat. Wśród współpracowników Żurawlewa był ZBIGNIEW DRZEWIEC-KI (1890-1971). Ten wybitny pianista, ale przede wszystkim pedagog, chłonął muzykę od dzieciństwa. Ojciec jego, Ludwik Drzewiecki, po powrocie z pracy, często spędzał długie godziny przy fortepianie, grając utwory Schumanna, Chopina, Griega czy Paderewskiego. Zbigniew w wieku pięciu lat rozpoczął regularną naukę gry na fortepianie, a nieco później także na skrzypcach. Wraz z ojcem i młodszym bratem Wiesławem stworzyli nawet rodzinne trio w składzie: Zbigniewskrzypce, Wiesław—wiolonczela, Ludwik /ojciec/–fortepian.

Mimo znacznych postępów w grze skrzypcowej, Drzewiecki bardziej interesował się fortepianem. Rodzice, widząc jego inklinacje w tym kierunku, starannie dobierali mu nauczycieli nie zapominając również o tym, że edukacja zdolnego dziecka powinna przebiegać wielotorowo. Uczęszczał więc Zbigniew do szkoły realnej, potem do III państwowego gimnazjum rosyjskiego (okres zaborów!), a po strajku szkolnym w 1905r. do gimnazjum polskiego im. Pawła Chrzanowskiego w rodzinnym mieście, Warszawie. Maturę uzyskał w r.1909 i wówczas, za namową rodziny, zdecydował się na kształcenie w dwóch kierunkach. Nauka na Politechnice miała zapewnić mu przyszłości, stabilizację życiową, a studia muzyczne-otworzyć furtkę do kariery pianistycznej. Jako miejsce studiów wybrał Drzewiecki Wiedeń. Praktyka wykazała, że łączenie tych dwóch tak różnych dziedzin było jednak zbyt trudne. W rezultacie Zbigniew opuścił Politechnikę po dwóch latach nauki.

Po ukończeniu studiów muzycznych w Wiedniu wrócił do Polski i po niedługim czasie zadebiutował w wielkiej sali Filharmonii Warszawskiej. Recenzje były bardzo pochlebne posypały się zaproszenia na występy prywatne, które z kolei pomogły w nawiązaniu nowych, często cennych znajomości. W tym miejscu warto przypomnieć pewien ważny epizod z życia Drzewieckiego-jego spotkanie z I. J. Paderewskim. Poznali się w Genewie, gdzie Drzewiecki dawał koncert wspólnie ze śpiewaczką Stanisławą Korwin-Szymanowską. Paderewski, po usłyszeniu gry młodego polskiego pianisty, zaprosił go do Szwajcarii, gdzie wtedy rezydował, na studia pod swoim kierunkiem. Drzewiecki nie skorzystał jednak z tego zaproszenia, gdyż doszedł do wniosku, że "lepiej dźwigać domek ciasny, ale własny, niż zależeć od w gruncie rzeczy niepewnej kariery światowej" W Polsce miał już pozycję artysty i pedagoga, o którym mówiono, do którego zaczynali garnąć się uczniowie. Po udanym debiucie w Filharmonii Warszawskiej zaproponowano Drzewieckiemu objęcie klasy fortepianu w Warszawskim Instytucie Muzycznym (ówczesna nazwa Konserwatorium).

"Ta decyzja zaciążyła wprost karykaturalną niekonsekwencją na moim życiu, bo utknąłem w szkolnej belferce już na za-

wsze (...) Nie uwolniłem się już z trybów tych zajęć i to miało niewątpliwy wpływ na tempo i zakres mojej kariery koncertowej rozpoczętej tak szczęśliwymi debiutami."³

Bardzo odpowiedzialny i pracowity, zabrał się Drzewiecki intensywnie do uczenia w Instytucie . Jak się okazało–zbyt intensywnie. "Rozpoczęły się bóle i szalone zawroty głowy. Po poradach lekarskich musiałem zwolnić tempo pracy. Zrzekłem się całego etatu, zatrzymując tylko połowę klasy."⁴

Mimo ograniczonej liczby uczniów, praca nabierała coraz większego rozmachu, albowiem w tym czasie pojawił się na warszawskiej arenie muzycznej Jerzy Żurawlew z inicjatywą zorganizowania Konkursu Chopinowskiego. Drzewiecki nie tylko przystąpił do współpracy, ale także przygotowywał swych uczniów do Konkursu. Wytrwała praca prowadzi na ogół do sukcesu. Tak było i tym razem. Na I Międzynarodowym Konkursie Chopinowskim, III nagrodę otrzymała pianistka polska Róża Etkin, uczennica Zbigniewa Drzewieckiego. Następnym triumfem była I nagroda zdobyta przez Halinę Czerny-Stefańską na IV Konkursie (1949 r.) a także I nagroda przyznana Adamowi Harasiewiczowi na V Konkursie (1955 r.). Szczupłe rozmiary niniejszego artykułu nie pozwalają szerzej rozwinąć tematu Konkursów Chopinowskich. Byłoby jednak niedopatrzeniem, gdyby przynajmniej nie wymienić nazwisk innych uczniów Drzewieckiego, laureatów warszawskiego Konkursu. Oto one: Jan Ekier, Waldemar Maliszewski, Marta Sosińska, Ryszard Bakst, Janusz Olejniczak. Wszyscy oni, koncertując na licznych estradach świata, rozsławili imię Polski i swego Profesora. Drzewiecki związany był z Konkursem Chopinowskim nie tylko jako pedagog. Uczestniczył w pracach jury od chwili powstania Konkursu aż do roku 1965. W latach powojennych był także przewodniczącym jury. Powszechnie uważa się, że polski styl chopinowski, oczyszczony z naleciałości poprzedniej epoki, ukształtował się po II wojnie światowej, kiedy czołowi polscy pedagodzy spotkali się w Łagowie Lubuskim, aby wspólnie szlifować formę naszych pianistów przygotowujących się do IV Konkursu Chopinowskiego. W grupie pedagogów był także Zbigniew Drzewiecki, który umiał zarówno pracować, jak



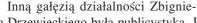
Z Haliną Czerny-Stefańską w 1949 r.



Wręczenie nagrody Adamowi Harasimowiczowi w 1955 r.

i bawić się z młodymi. "... dobry humor opuszcza go rzadko, bo w ogóle jest człowiekiem powściągliwym, rozważnym, skupionym, pełnym namysłu, starającym się nic nie uronić ze skarbca doświadczeń i obserwacji, jakie zebrał w ciągu swych artystycznych i nie tylko artystycznych podróży. Mrówczo pracowity, a przy tym organizujący swą pracę inteligentnie

i pomysłowo, umie się bawić, a i lubi też-trudno o nim powiedzieć, żeby gardził urokami życia: potrafił je wykorzystywać, choć nigdy nie przebierał miary."5 Pedagogika i Konkursy Chopinowskie to główna, ale nie jedyna strona aktywności Zbigniewa Drzewieckiego. Studia w Wiedniu dały mu możność poznania muzyki współczesnej, której stał się zwolennikiem, wykonawcą i propagatorem. W Wiedniu poznał Karola Szymanowskiego, zachwycił się jego utworami i wiele z nich włączył do swojego repertuaru. Smakując w muzyce Szymanowskiego, nieustannie rozszerzał wachlarz swych zainteresowań twórczością współczesnych kompozytorów światowych i polskich. Często wykonywał publicznie utwory Ravela, Prokofiewa, Strawińskiego, Szabelskiego, Palestra, Tansmana i Ekiera.



wa Drzewieckiego była publicystyka. Jego artykuły i recenzje zamieszczane w przedwojennej i powojennej prasie muzycznej były wysoko oceniane. Wybitny muzykolog, Jerzy Waldorff zastanawiał się nawet, jak to jest możliwe, że człowiek, który obcuje z muzyką ma tak wielką łatwość w posługiwaniu się słowem! Należy też dodać, że Drzewiecki opracował wiele utworów dla potrzeb szkolnictwa muzycznego, wydanych przez Polskie Wydawnictwo Muzyczne.

Ważnym etapem w życiu zawodowym Zbigniewa Drzewieckiego były lata po II wojnie światowej. Podobnie jak wielu polskich naukowców i artystów, osiadł w roku 1945 w Krakowie, gdzie spotkał prawie całą polską elitę muzyczną. Wszyscy ci ludzie, szczęśliwi, że zakończył się koszmar wojny, zabrali się do organizowania życia muzycznego miasta. Drzewiecki wystąpił na pierwszym powojennym koncercie symfonicznym, grając Koncert f-moll Chopina. Wielka to była chwila-muzyka polska powróciła na estrady! Otwarła też swe skromne jeszcze podwoje Państwowa Wyższa Szkoła Muzyczna, której Drzewiecki został pierwszym Rektorem. Ponieważ wśród pedagogów tej uczeni znaleźli się tak znakomici muzycy, jak Jan Hoffman /pianista/, Henryk Sztompka / pianista/, Bronisław Rutkowski /organista/, Eugenia Umińska / skrzypaczka/, Stefania Łobaczewska /muzykolog/, na rezultaty nie trzeba było długo czekać. To z tej Uczelni wyszli Halina Czerny-Stefańska i Adam Harasiewicz, przyszli zwycięzcy Konkursów Chopinowskich.

Bogata i wielopłaszczyznowa działalność Zbigniewa Drzewieckiego byłaby niepełna, gdyby nie powiedzieć o nim jako człowieku. "Gdyby szeroko rozpowszechniona była telewizja, to w waszych odbiornikach ujrzelibyście postać zbliżającego się do mikrofonu, gęsto przyprószonego siwizną, mu-

zyka średniego wzrostu, o niezbyt szybkich ruchach. Golona, podługowata twarz, głęboko osadzone oczy, duży nos, szare dwurzędowe ubranie, ukłon z przyzwyczajenia estradowego w stronę słuchaczy – i oto , nim do fortepianu zasiądzie, rzuci kilka biograficznych danych i spróbuje możliwie obiektywnie się scharakteryzować." Tak opisał siebie Zbigniew Drzewiecki



Zbigniew Drzewiecki

w audycji radiowej, w styczniu 1955 r. A teraz uczniowie: "Profesor Drzewiecki był osobowością dużego formatu. Człowiek o wysokiej inteligencji, poliglota, oczytany był w literaturze europejskiej. Kiedyś w czasie studiów rozmawiałem z nim na temat spiętrzenia się moich prac kompozytorskich i pianistycznych oraz wynikającymi z niego trudnościami w podołaniu im wszystkim. Powiedział mi: "Trzeba planować swoje zamierzenia tak, jakby się miało żyć bardzo długo, a pracować nad nimi tak, jakby się miało umrzeć jutro". Uderzyła mnie mądrość tych słów"6 "...przekonany jestem, że ukochany Profesor znajduje się w Raju, ponieważ był wspaniałym, kochanym człowiekiem. Miał wielki wpływ na mnie w moich młodych latach, szalenie mi pomógł w bardzo ciężkich czasach okupacji niemieckiej i zawsze uważałem go za drugiego ojca. Ubóstwiałem

tego człowieka"7

"...mówił nam tę prawdę, która czasem (jak rzadko!) cieszyła, ale najczęściej była to prawda goryczą przesiąknięta, że ją łyknąć było trudno." Wspomnienia, wspomnienia... Ocalają pamięć o człowieku, wywołują wzruszenia... Profesor Zbigniew Drzewiecki odszedł od nas 50 lat temu, ale dzieło Jego życia trwa. "Non omnis moriar" możemy powtórzyć za starożytnym poetą rzymskim, Horacym.

Marta Czerewko-pianistka em. nauczycielka gry na fortepianie w średnich szkołach muzycznych w Rzeszowie, Katowicach i Krakowie oraz wykładowca Akademii Muzycznej w Katowicach. Korepetytor języka francuskiego, mieszkanka Bochni. Przypisy:

- ¹ Jerzy Zurawlew, po powstaniu warszawskim, przebywał przez pewien czas w Bochni, gdzie założył Szkołę Muzyczną noszącą dziś jego imię. Na bocheńskim cmentarzu spoczywa jego żona Zofia, zmarła w 1944r.
- ² Zbigniew Drzewiecki, *Wspomnienia muzyka*, str.90, wyd. Państwowe Wydawnictwo Muzyczne 1971.
- ³ Tamże, str.71.
- ⁴ Tamże, str.72.
- ⁵ Stefan Kisielewski, *Zbigniew Drzewiecki*, str. 28, wyd. Polskie Wydawnictwo Muzyczne, 1973.
- 6 Jan Ekier, Moje studia u prof. Drzewieckiego, w: Zbigniew Drzewiecki we wspomnieniach uczniów i przyjaciół, wyd. Akademia Muzyczna w Krakowie, 1998.
- ⁷ Marian Filar, *Wspomnienia o moim ukochanym Profesorze* w: tamże, str.91.
- ⁸ Maria Szmyd–Dormus, *Nauczyciel muzyki /W hołdzie Zbi-gniewowi Drzewieckiemu/* w: tamże str.108.

Anna Szewczyk (Bochnia)

"A Polska powinna trwać wiecznie, wiecznie..." (Wincenty Witos)

Rozmowa ze Zbigniewem Cisło-emerytowanym nadsztygarem ds. mechanicznych w Kopalni Soli w Bochni, działaczem NSZZ "Solidarność" w bocheńskiej kopalni soli, radnym Miasta Bochni kilku kadencji w latach 90-tych, który jest zafascynowany historią ruchu ludowego a szczególnie historią Polskiego Stronnictwa Ludowego. Na łamach "Wiadomości Bocheńskich" opowiada o Wincentym Witosie, przywódcy PSL "Piast", trzykrotnym premierze w czasach II RP,

oraz o wspaniałych podróżach i marzeniach, które warto po prostu mieć.

-Jest w Bochni ulica Wincentego Witosa, a nieopodal, u jej wlotu od strony ul. Strzeleckiej znajduje się pomnik poświęcony strajkom chłopskim w sierpniu 1937 r., odnowiony i dekorowany kwiatami w rocznice tych wydarzeń.

-Tak, w 1937 roku chłopi w Bochni zginęli w starciach z granatową policją. Na tablicy marmurowej upamiętnieni zostali "Chłopi z Ziemi Bocheńskiej-Wincenty Piechnik i Stanisław Święch, którzy w dniu 19 sierpnia 1937 roku padli w Kurowie od kul Granatowej Policji w pamiętnych dniach strajków chłopskich. Krew swą i ofiarę z życia złożyli na szali walki o sprawiedliwość społeczną o lepsze jutro Chłopa polskiego. Cześć ich pamięci". Ginęli też chłopi w okolicach Tarnowa, Żabna...

-Pan zwraca uwagę, że struktury PSL-u były mocne zarówno w Bochni, jak i w okolicach Tarnowa, w Żabnie...

-Pragę przypomnieć, że struktury PSL-u w Bochni były mocne. W Tarnowie też podobnie to wyglądało. PSL był mocny przed wyborami, tu w Bochni, i w okolicach Tarnowa...

-A cofając się w czasie i przywołując wydarzenia historyczne, przewrót majowy jakie miał Pana zdaniem znaczenie?

–Przewrót majowy był skierowany przeciwko Witosowi. Taka jest moja ocena tamtych wydarzeń. "Dzienniczek Faustyny" jest też znaczącym dokumentem, jeżeli chodzi o fakty związane z historią Polski. Faustyna pisze o pogrzebie Piłsudskiego, Faustyna wyraźnie pisze, że w sensie pogodowym, w tym dniu były burze.

-W ubiegłym roku minęła 75 rocznica śmierci Wincentego Witosa. Pan ze względu na rodzinne relacje i zaanga-

żowanie polityczne Pana wujka Stanisława Solaka w działalność PSL-u, może opowiedzieć o najbliższym otoczeniu tego wielkiego przywódcy ruchu ludowego...

-Tak, rzeczywiście, pochodzę z Żabna, mój chrzestny ojciec i wujek, Stanisław Solak, pochodził z Biskupic Radłowskich i był bliskim przyjacielem Stanisława Mierzwy, pochodzącego z tej samej miejscowości. Obaj kończyli studia prawnicze w Krakowie, a Stanisław Mierzwa, był bliskim współ-

pracownikiem wielkiego przywódcy ludowego Wincentego Witosa. Może dodam do tego taki wątek osobisty, że moja mama również pochodziła z Biskupic Radłowskich z domu Solak. Ojciec mamy, a mój dziadek, Maciej Solak pochodził z Wierzchosławic. Czasami moja mama z dumą opowiadała nam, że dziadek siedział w jednej ławce z Wincentym Witosem, bardzo zdolnym uczniem. Później jako polityk był mądry i uczciwy, był wielkim patriotą i katolikiem, miłującym tych, z których się wywodził, miłujący ziemię. Mój wujek spotykał ze Stanisławem Mierzwą, którego prześladowano. W tym otoczeniu był jeszcze Maksymilian Malinowski, który działał w ZSL-u, mój wujek bał się z nim kontaktować i konsultować pewne sprawy. Często bywałem u mojego wuja, który opowiadał mi-jako młodemu chłopakowi, wiele ciekawych opowieści na ten temat. Niestety, przykro to stwierdzić, ale komuna bardzo gnębiła przedstawicieli PSL-u . Nieznani sprawcy mordowali znaczących przedstawicieli tego ugrupowania. PSL w czasie II wojny światowej i w latach powojennych w życiu społeczno-politycznym był silny, rola patriotyczna PSL-u była bardzo zna-

cząca, PSL miał własną prasę, uświadamiał wartości patriotyczne. Wincenty Witos w okresie I wojny światowej współpracował, jeśli chodzi o sprawy polskie, z polskim malarzem Włodzimierzem Tetmajerem, zamieszkałym w Bronowicach, radnym miasta Krakowa do parlamentu austriackiego, a także polskimi pisarzami: Władysławem Reymontem, Henrykiem Sienkiewiczem, którzy zabiegali o Polskę również na arenie międzynarodowej. Warto zwrócić uwagę, że dzisiaj w Wierzchosławicach odbywają się Dożynki Reymontowskie, co roku o tej samej porze–20 sierpnia, podczas których przypomina się o postaciach wielkiego polityka Wincentego Witosa i polskiego pisarza Władysława Stanisława Reymonta, który przyjeż-



Kamienny obelisk upamiętniający wydarzenia z 19 VIII 1937 r., został wzniesiony staraniem ZSL w 20. rocznicę tych wydarzeń. Pierwotnie umiejscowiony po wschodniej stronie ul. Wiśnickiej na rozwidleniu z ul. Strzelecką. Obecnie po przebudowie, przeniesiony na północną stronę rozwidlenia przy ul. Strzeleckiej. Fot. A. Szewczyk

dżał do Wierzchosławic..., pisarz był zaangażowany w działalność PSL-u "Piast".

-Przypomnijmy zatem postać Wincentego Witosa...

-Urodzony w 1847 r. we wsi Wierzchosławice koło Tarnowa, zaczął pomagać ojcu na ponad hektarowym gospodarstwie, który dorabiał jako drwal w lasach księcia Sanguszki. W szkole ludowej przejawiał szczególne zdolności. Przeszkodą była jednak bieda rodziny. Rodziców nie było stać na opłacenie tarnowskiego gimnazjum. Jako nastoletni chłopiec pochłaniał setki książek–polską klasykę, encyklopedie i wiele lektur politycznych. Z polityką zetknął się po raz pierwszy w 1891 r., w kampanii na rzecz kandydatury poselskiej Jakuba Bojki.

Jako chłop i patriota zrozumiał, że "pewną naturalną podstawę państwa może stanowić chłop polski".

W 1903 r. wszedł w skład Rady Naczelnej Polskiego Stronnictwa Ludowego, a wkrótce potem został wójtem Wierzchosławic. W 1908 r. wybrano go do galicyjskiego Sejmu Krajowego, a w 1911 r.—do parlamentu w Wiedniu. Po rozłamie w PSL w 1913 roku stanął na czele umiarkowanego PSL "Piast". W czasie I wojny światowej angażował się po stronie państw centralnych, ale w październiku 1918 r. stanął na czele Polskiej Komisji Likwidacyjnej w Krakowie—pierwszego ciała niezależnego od Austriaków.

W Polsce Odrodzonej, Wincenty Witos był trzykrotnie premierem. Po raz pierwszy objął ster Rządu Obrony Narodowej w lipcu 1920 r., w chwili wybuchu wojny polsko-bolszewickiej 1920 r. i śmiertelnego zagrożenia kraju. Jako premier tego rządu wydał słynną odezwę do chłopów, nawołując ich do wsparcia obrony Polski.

23 marca 1920 r. Wincenty Witos przemawiał z balkonu domu w Tarnowie, w którym mieścił się sekretariat zarządu powiatowego Polskiego Stronnictwa Ludowego "Piast". Stał wtedy na czele Rządu Obrony Narodowej, który powstał 24 lipca 1920 r. Tydzień przed przyjazdem do Tarnowa rozegrała się bitwa w obronie Warszawy. W zgromadzeniu uczestniczyło ponad 20 tysięcy chłopów z 8 okolicznych powiatów: "Szanowni zebrani! W dniach między 14 a 16 sierpnia 1920 roku. przed bramami Warszawy, stolicy Polski, odezwały się armaty z jednej i z drugiej strony. Huk ich mógł zwiastować narodowi niewolę, albo wyzwolenie. Na kilkanaście kilometrów od Warszawy stanęła armia rosyjska, która dostała nakaz zajęcia w nocy z 14 na 15 sierpnia Warszawy. Wewnątrz stolicy są ludzie, którzy pozostawali w służbie wroga, prowadząc politykę sowiecką, mieli nakaz aresztowania rządu i ogłoszenia rządu sowieckiego. Wola narodu, wola stronnictw reprezentowanych w Sejmie, powołała w mojej osobie lud, aby w tej chwili poświęcił wszystko, co posiada, aby unicestwić plany wroga, przygotowane i bliskie wykonania. Na podobnym temu, na którym dziś stoję balkonie, o 12-ej godzinie w dniu 14 sierpnia, upamiętnionym niezawodnie w historii polskiej, patrzyłem na ulice i badałem nastrój. Zdawało mi się, ze stolica nie czuje grozy niebezpieczeństwa, nie czuję w sobie siły, aby niszczącą katastrofę usunąć i najazdowi się przeciwstawić. (...). Okres ten zapisze historia na jasnych kartach, jeżeli do końca wytrwamy, jeżeli do końca nie stracimy wiary w siebie, jeżeli dalej ochotnie składać będziemy ofiary, jakich Ojczyzna zażąda". ("Monitor Polski", nr 191, z dn. 24 sierpnia 1920, s. 5.).

Odszedł z rządu po ponad roku wytężonej pracy. Był gorącym orędownikiem reformy rolnej. Nie upierał się przy wywłaszczeniu bez odszkodowania. Podczas okupacji był inwigilowany przez Gestapo i przejściowo uwięziony, a jego córkę osadzili Niemcy w obozie koncentracyjnym. Nigdy nie ufał komunistom, odmówił współpracy z władzami sowieckimi po 1945 roku. Zmarł 31 października 1945 r. Pochowany został na Cmentarzu w Wierzchosławicach. Autor książek *Przemówienia, Moje Wspomnienia*. Pomnik Wincentego Witosa wzniesiono w Warszawie w 1985 roku. Pomnik wielkiego Polaka i patrioty Wincentego Witosa znajduje się także w Tarnowie.

-Pan bardzo żyje sprawami związanymi z postacią Wincentego Witosa.

 Taka ciekawostka dla Państwa, Czytelników Wiadomości Bocheńskich, otóż w Kościele Opatrzności Bożej w Toruniu, gdzie szczególnym kultem otoczono Matkę Bożą i Jana Pawła II, widziałem wyjątkową wystawę. Znajdują się tam portrety wybitnych Polaków, zasłużonych dla Ojczyzny. Wewnątrz Bazyliki zostali ukazani również bohaterowie, którzy zginęli ratując Zydów. Na wystawie-pod czujnym okiem Ojca Rydzyka, wśród wielkich Polaków-odgrywających ważną rolę w Niepodległej Polsce, widnieje Wincenty Witos, który został pokazany na tej wystawie-na pięknym portrecie, w krawacie! Ja myślę o tej elegancji przedwojennej, kindersztubie, szacunku do krawata... Wincenty Witos jako "Chłopski syn", osiągnął wysoki awans społeczno-polityczny i będąc premierem, odegrał ważną rolę w historii Polski. Kochał ziemię, orał, siał, ale nigdy w krawacie nie był parlamencie, bo po prostu jako "Chłopski syn"... nie nosił krawata. Siła polskiego chłopa polega na jego potencjale patriotycznym..., kwestia elegancji, bycia światowcem, celebrytą nie jest w ogóle ważna. Ważniejszy jest tutaj literacki mit ..., Chłopa-Piasta", który ma osadzenie w konkretnej działalności patriotycznej PSL-u "Piast" w czasach trudnej niewoli narodowej, w czasach zaborów, czyli partii działającej w latach 1914-1931, której liderami byli: Wincenty Witos, Jakub Bojko, pochodzący z Gręboszowa podobnie jak gen. Henryk Sucharski urodzony w Gręboszowie, obrońca Westerplatte, wyszkolony w bocheńskim "Sokole" do przyszłych zadań żołnierskich podczas obrony "Westerplatte" oraz Jan Sadlak. Wystawa jest piękna, w tej "Galerii Wielkich Polaków" można zobaczyć wielkie nazwiska Polaków, architektów polskiej niepodległości: Józefa Piłsudskiego, Ignacego Paderewskiego, Ignacego Daszyńskiego, Wojciecha Korfantego, Romana Dmowskiego. Warto zobaczyć tą wystawę.

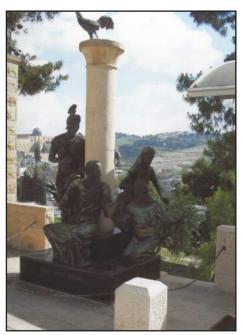
-Skąd u Pana takie zainteresowanie historią PSL-u?

–Interesowałem się PSL-em, mam wiele książek na ten temat. Wykonując remont, natrafiłem na rodzinne pamiątki mojej mamy, pochodzącej z Biskupic Radłowskich, a stąd niedaleko do Wierzchosławic i dziadka, wujka, który był moim chrzestnym ojcem, obydwaj studiowali prawo. Cała moja rodzina pochodzi z Żabna. To wujek opowiadał mi o "Procesie szesnastu", pokazowym procesie politycznym Polskiego Państwa Podziemnego, przeprowadzonego w dniach 18-21 czerwca 1945 r. w Moskwie. Żołnierze Armii Krajowej–bohaterowie tego procesu zostali skazani w Moskwie, w tej grupie był Leopold Okulicki, ostatni dowódca Armii Krajowej, komendant Sił Zbrojnych w Kraju i Komendant Główny organizacji

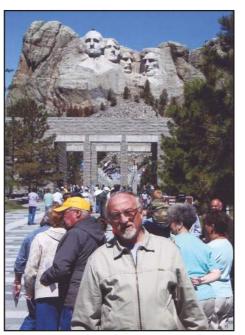
"Nie", był prześladowany, gdy jeszcze mieszkał w Krakowie. Prześladowany w inscenizowanym Procesie Szesnastu, zmarł w Wigilie 24 grudnia 1946 r. Ale to jest już inny temat na osobny artykuł. Jeszcze nasuwa mi się inny rozdział historii, dzisiaj dużo się mówi także o Katyniu, jest wiele opracowań historycznych na ten temat, podczas gdy ja chodziłem do szkoły, byłem młodym chłopcem, w domu u nas się o tym mówiło, ale nas tego nie uczono w szkole. Chodziłem do szkoły w Zabnie. Miałem przedwojennych nauczycieli, na poziomie, byli uniwersalni, to byli prawdziwi intelektualiści, którzy się czymś interesowali, mieli swoje zasady, życiowe sprawy też nie były im obce. Samo ukłonienie się było już ważne, jeśli chodzi o sprawowanie, tego od nas wymagał nauczyciel, takie życiowe podejście, w tamtych czasach, kultura i szacunek do osób starszych i Nauczycieli było omawiane na przedmiotach. To nauczyciele wyrobili we mnie przekonanie, że uchylić czapki, uchylić kapelusza, bo wtedy chodziło się w kapeluszach z gestem ukłonu i szacunku, to jest jakieś "dobro". Dunajec jest rzeką zdradliwą, gdzie tworzą się wiry i mogą wciągnąć człowieka. Jednocześnie po ulewach Dunajec wzbiera, zmieniając koryto, jednocześnie tworząc nowe zagłębienia z wirami, w których tworzą się niebezpieczne wiry dla kąpiących się, jednocześnie tworzą się niebezpieczne głębie z wirami. To jest bardzo niebezpieczne dla wypoczywających nad rzeką, tak się stało z pewnym Nauczycielem, który bardzo mądrze przestrzegał młodzież, jak należy się zachowywać w tym miejscu, i rzeka górska go porwała.

-Ma Pan ciekawe propozycje związane z wprowadzeniem do Kalendarza Świąt Kościelnych Wielkiego Piątku jako dnia wolnego od pracy i ewentualnego zniesienia Poniedziałku świątecznego związanego z tradycją pogańskiego święta "Śmigusa- Dyngusa"... w okresie Świąt Wielkanocnych.

-Moim zdaniem byłoby bardziej właściwe i pożyteczne zlikwidowanie drugiego dnia Świąt Wielkanocnych-tzw. "le-



Dziedziniec Kajfasza, gdzie wg wg tradycji Piotr zaparł sie Chrystusa. Pomnik obrazujący tę scenę ze służącą i kogutem. Jerozolima 2011. Fot. Z Cisło



Prezydenci–Mounts Rushware ma 18 m wysokości. Południowa Dakota-2010 Fot. 7. Cisło

jek", święta pochodzenia pogańskiego-a ustanowienie dniem wolnym od pracy Wielkiego Piątku, jednego z największych Świąt naszego odkupienia obok dnia Zmartwychwstania. Na pewno pozwoliło by to wielu rodzinom na spokojne przygotowanie się do Świąt Wielkiej Nocy i godnego uczestniczenia w tych największych misteriach Paschalnych. Żeby można w tym dniu pójść do kościoła, przystąpić do spowiedzi, pomodlić się... Ale sprawę tę należałoby uzgodnić i dopracować z episkopatem, gdyż zapewne opór materii może być duży, ponieważ największą świętością jest "święty spokój". Wymagałoby to sporego wysiłku, ale dokonanie zapewne chwalebne dla wszystkich wierzących. PSL-owcy powinni o to zabiegać, szczególnie "PSL "Mała Ojczyzna". Moim wielkim marzeniem jest to, żeby szczególnie odrodziła się partia "PSL "Mała Ojczyzna" i żeby zaangażował się w takie sprawy. Dodam w tym miejscu, że kiedy działałem w radzie parafialnej, kiedy proboszczem Parafii św. Pawła był ks. Jan Nowakowski, byłem uczestnikiem wizyty biskupa Wiesława Lechowicza. Zgłosiłem mu wówczas, żeby zamiast "Poniedziałku Wielkanocnego" ustanowić "Wielki Piątek" dniem wolnym od pracy, tak jest przecież w Stanach Zjednoczonych, i w Kanadzie. "Poniedziałek Wielkanocny" jest też pogański... Biskup Wiesław Lechowicz powiedział wtedy, że trudno to rozstrzygnąć. Taka inicjatywa jego zdaniem powinna wyjść od partii, od biskupów.

-Jest Pan przeciwko eutanazji...

-Tak, jestem przeciwny eutanazji, uważam że słowo to znaczy "wykonało się". Nie można z własnej woli odbierać prawa do życia drugiemu człowiekowi. Głośna taka sprawa toczyła się parę miesięcy temu w Wielkiej Brytanii i dotyczyła Polaka znajdującego się w śpiączce w szpitalu w Plymouth. Sąd Opiekuńczy w Londynie wyznaczył termin 7 stycznia godz. 16.00 miejscowego czasu jako termin odłączenia Polaka od aparatury. Zabiegi w tej sprawie podjęła najbliższa rodzina, siostra i żona. Rząd polski podjął starania w tej sprawie, by

można było mężczyznę przetransportować do kraju, klinika "Budzik" była gotowa na przyjęcie i terapię pacjenta. Niestety Polak został odłączony od aparatury. Niestety eutanazja jest coraz częstszym zjawiskiem, dziejącym się na naszych oczach.

-Jakie ma Pan marzenia?

–Ja już wielkich marzeń nie mam, co miałem zobaczyć, prawdę rzekłszy, to już zobaczyłem. Chciałbym jednak pojechać na Litwę, bo uwielbiam poezję Adama Mickiewicza, to tak jakbym czytał "Biblię polskości". Chciałbym też zobaczyć katedrę "Sagrada Familia" w Hiszpanii. Kilka lat temu odbyłem pielgrzymkę do Ziemi Świętej, którą jestem zachwycony. Taką ciekawostką był dla mnie akwedukt, który był budowany dla posiadłości Cezara, w celu sprowadzenia wody z góry Karmel. Dzięki



Granitowy model do wykonania postaci Crazy Horse'a w samym sercu Czarnych Wzgórz w Południowej Dakocie. Miejsce tej monumentalnej rzeźby wybrał Korczak-Ziółkowski, rzeźbiarz polskiego pochodzenia, który dzieło swego życia realizował w l. 1947-1982. Fot. Z. Cisło

klimatowi, który tam panuje, przetrwał do dnia dzisiejszego. Działo się to za panowania Cezarów, przed panowaniem Chrystusa. Jest to zabytek, który ma przeszło 2000 lat. I znajduje się on w dobrym stanie.

A w Bochni jest takie cudowne, zachwycające miejsce, warte odwiedzenia w grupie przyjaciół, polecam przy okazji, jest to "Kuźnia Michałówka" (ul. Wiśnicka 71a -red.). Są tam wyeksponowane piękne narzędzia rolnicze: cepy, żniwiarka na węgiel, to było proszę Pani, moje dzieciństwo. Receptą na szczęście mogę się z Panią podzielić i z Czytelnikami *Wiadomości Bocheńskich*-brzmi ona tak: "Świat wartości jest najważniejszy, a materia jest sprawą drugorzędną". Zresztą, ja Pani powiem, że w moim życiu znaczące było spotkanie z Dorą Kacnellson, humanistką, która przybyła do Bochni z Drohobycza, z miasta, w którym Bruno Schulz napisał *Sklepy cynamonowe*. Znała język hebrajski i wierzyła w Boga. Bardzo mi zaimponowała ta Pani naukowiec. Ja też mam sentyment do Ziem polskich na Kresach, interesuje mnie Krze-

mieniec ze sławnym Liceum Krzemienieckim, Lwów, gdzie miały miejsce śluby króla Jana Kazimierza, Chocim, Kamieniec Podolski-związany z Sienkiewiczowskim "Panem Michałem Wołodyjowskim", Ławra Poczajowska "Zaśnięcia Matki Bożej" w Poczajowie, druga "Częstochowa" dla pielgrzymów. To warto zobaczyć! Moje marzenia też się spełniły, mam album dotyczący ciekawych miejsc w Ziemi Świętej, w Rzymie, z Ameryki mam wiele pamiątek. W swoim życiu byłem też z wizytą u wielkich postaci, widziałem nawet monumentalne rzeźby amerykańskiego rzeźbiarza-polskiego pochodzenia Korczaka-Ziółkowskiego w Indian Crazy Horse w Dakocie Południowej w Stanach Zjednoczonych. Wspaniałego Polaka, przyjaciela Indian, który podjął się wykucia w skale -Indianina na koniu w Crazy Horse. Marzenia się spełniają. Ta rzeźba przedstawia siedzącego na monumentalnym koniu Indianina, na jego ramieniu może stanąć 4 tysiące ludzi. Korczak-Ziółkowski wyrzeźbił tą figurę w skalistej górze. Mam stamtąd zdjęcia. W Crazy Hors miałem szczęście spotkać ciekawego mężczyznę, który pracował przy tworzeniu monumentalnych figur, w Stanie południowej Dakoty, które były własnością Indian. W 1942 ja się urodziłem, a on wiercił skały pod ładunki wybuchowe w celu obróbki dużych skał w latach 1935-1942. To niesamowite! Te wspomnienia są wciąż w mojej pamięci. Korczak-Ziółkowski jest też twórcą marmurowego popiersia Ignacego Paderewskiego, to dzieło przyniosło mu nagrodę na Wystawie Światowej w Nowym Jorku.

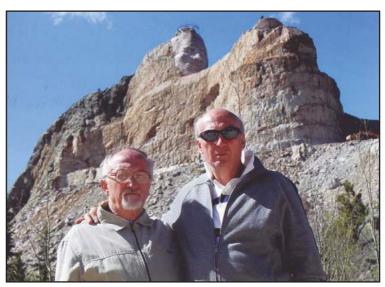
W tym rejonie w południowej w Dakocie znajduje się też monumentalne dzieło–Figury Prezydentów w ścianie góry Mount Rushmore w Górach Czarnych w Dakocie Południowej, których autorem był rzeźbiarz Gutzon Borglum, prace nad dziełem rozpoczął w 1927 r., a potem dzieło Ojca kontynuował jego syn, Lincoln. I wiąże się z tym miejscem historia czterech prezydentów–Jerzego Waszyngtona, uważanego za Ojca narodu amerykańskiego, generała i prezydenta, "pierwszego na wojnie, pierwszego w pokoju, pierwszego w sercach swoich rodaków". Abrahama Lincolna, który zniósł niewolnictwo, Thomasa Jeffersona–wielkiego twórcy

"Deklaracji Niepodległości Stanów Zjednoczonych", którą to Deklarację opracował i zatwierdził, oraz Franklina Delano Roosevelta, który był prezydentem Stanów Zjednoczonych cztery kadencje, trzy kadencje ją pełnił i przedłużył swoją kadencję podczas II wojny światowej, bo nie było wtedy wyborów. Stał się centralną postacią wydarzeń na świecie w pierwszej połowie XX wieku. Lubię dotknąć historii. Lubię też miejsca związane z bł. Karoliną Kózkówną, podziwiać dom, w którym się urodziła, a który został odbudowany w pierwotnej postaci, jej mieszkanie, cudowne łąki, którymi się idzie do jej domu, stajnię, cały ten kompleks do zwiedzania, gdzie nie można oprzeć się refleksjom nad jej błogosławionym życiem. Lubię też dwór w Dołędze, miejsce związane z powstańcami styczniowymi, kapliczkę powstańców. To też jest historia!

–Dziękuję, życzę Panu wszystkiego dobrego, spełnienia marzeń, wielu podróży, przede wszystkim zdrowia!

- Ja też Pani dziękuję.

Rozmawiała: Anna Szewczyk



Twarz wodza Indian–Szalonego Konia. Cały posąg wielkiego Siuksa, będzie miał 120 m wysokości i 210 m długości. Zdjęcie z bratem. Lipiec 2010. Fot Z. Cisło

Adam Kobiela (Bochnia)

Parkingi miejskie

Stan zastany

Parking-po polsku miejsca postojowe. Jest to problem praktycznie niezauważalny w polskich miastach do lat 90-tych. Problem nie istniejący za komuny. Wtedy samochody osobowe prywatne należały do rzadkości i były synonimem luksusu. W projektach urbanistycznych planów zagospodarowania przestrzennego nie były w ogóle brane pod uwagę. Na projektowanych wtedy osiedlach niewiele miejsca przeznaczano na parkingi. Było to uzasadnione sytuacją ekonomiczno-polityczną kraju, w którym samochód osobowy należący do osoby prywatnej był kojarzony z luksusem i wysokim prestiżem właściciela pojazdu. Prominenci jeździli samochodami zakupionymi na talony otrzymywane od władzy w drodze wyróżnienia lub byli wożeni samochodami służbowymi. Prywatna inicjatywa kupowała samochody w PEWEX-ie za bony. Przeciętny śmiertelnik mógł liczyć na szczęście zakupienia pojazdu na przedpłaty po odczekaniu paru lat w kolejce. Władza komunistyczna takich posiadaczy za bardzo nie lubiła, a że było ich niewielu w skali społeczeństwa, problem praktycznie nie istniał. Mały ruch samochodowy pozwalał na parkowanie praktycznie wszędzie, przed domem na każdej ulicy. Ulice prawie wszystkie były dwukierunkowe, bo przecież jadący raz na czas samochód rzadko trafiał na pojazd z naprzeciwka.

Wszystko się zmieniło po roku 1989. Problem parkingów zaczął narastać wraz z łatwiejszym dostępem do samochodów używanych po otworzeniu dostępu do rynków zachodniej Europy. Zaczęła się masowa motoryzacja kraju. Pomimo dostępności były to wydatki znaczne w budżecie przeciętnego obywatela. Powstała więc potrzeba chronienia tego zachodniego cacka w garażu. Potrzebom tym wyszli naprzeciw producenci tanich garaży-blaszaków. Całą Polskę, w tym i Bochnię zaśmieciły tandetne budy z blachy falistej. Lokalizowane były gdzie popadnie. Na obrzeżach miast. Na terenach nieczynnych w latach 90-tych zakładów, w miejscach mało widocznych. Jedynym kryterium lokalizacji była opinia komitetu osiedlowego.

Problem miejsc postojowych dotyczy prawie wszystkich miast w Polsce. W Bochni problem był załatwiany w następujący sposób;

- 1. Pozytywna opinia komitetu osiedlowego
- 2. Wykonanie projektu lokalizacji garaży
- 3. Akceptacja Architekta Wojewódzkiego w Tarnowie (Bochnia należała do woj. tarnowskiego)

Dla tych, którym nie udało się zdobyć miejsca pod blaszak pozostało parkowanie na ulicy. Parkowanie na ulicy zaczęło blokować ruch miejski. Inicjatywy grup społecznych w sprawie budowy garaży na osiedlach spotykały się z protestami tych, których jeszcze nie było stać na zakup swoich wymarzonych 4 kółek. Problem rozwiązywano doraźnie. A to wykrawając zatoki z zieleńców na osiedlach, przeznaczając część szerokich chodników na miejsca postojowa lub ograniczając ruch do jednostronnego aby po drugiej stronie ulicy umożliwić parkowanie. I tak jakoś to szło. W wyniku zaspokajania potrzeb mieszkańców powstał swoisty śmietnik. Blaszaki były lokalizowane na drugim pasie obecnej al. Solidarności, na "tyłach" oś. Jana, na

"tyłach" bloków przy ul. Kazimierza Wielkiego i gdzie się tylko dało. Określenie "na tyłach" celowo umieściłem w cudzysłowie ponieważ te tzw. "tyły" to niedostrzegane miejsca o dużych wartościach estetycznych, rekreacyjnych i historycznych miasta. Wspomniałem o tym w artykule poprzednim "powiązania rekreacyjne".

Działania władz ograniczały się do przeganiania z miejsc postojowych, aby zwiększyć rotację. Wprowadzono opłaty parkingowe. Początkowo pobieranie opłat przez inkasentów zwanych "parkingowymi" zastąpiono z czasem nowoczesnymi parkomatami zasilanymi w energię słoneczną. Nie rozwiązało to problemu. Miejsce pozostaje zawsze miejscem o określonych parametrach wymierzalnych na powierzchni terenu. A teren jest coraz droższy i jest go coraz mniej w przestrzeni miasta. Co zatem zrobić? Jak rozwiązać problem miejsc postojowych w mieście? Na pewno trzeba ograniczyć do niezbędnego minimum postoje w centrum miasta, gdzie dokonuje się rewitalizacja. W stosunku do ilości miejsc przed rewitalizacją jest to drastyczne ograniczenie ruchu pojazdów. Centrum każdego miasta jest nasycone gęstą siecią usług. Są to takie usługi, których brakuje w mniejszych ośrodkach gminnych na terenie powiatu. Trzeba pamiętać, że miasto powiatowe ma zaspokajać potrzeby nie tylko jego mieszkańców lecz także mieszkańców powiatu. O ile mieszkańcy centrum mogą dojść na piechotę do rynku i jego okolic, o tyle mieszkańcy jego obrzeży lub z terenu powiatu muszą tu dojechać. Oczywiście nie do centrum, ale w okolice centrum. W mieście zlokalizowane są urzędy, instytucje władzy regionalnej, usługi specjalistyczne, których brak w siedzibach gmin. Są tu też przestrzenie społeczne wyposażone w atrakcje pozwalające na rozrywkę na poziomie ponadgminnym. Rewitalizacja centrum na pewno przywróci wymarły ostatnio ruch w centrum. Wrócą usługi w rynku a wraz z nimi przybędą ludzie. Oprócz mieszkańców Bochni i powiatu przybywają coraz liczniej turyści. Lecz gdzie pozostawią swoje pojazdy? Nawet na obrzeżach miasta brak dużych parkingów. Jest kilka miejsc na terenie miasta, które są wykorzystywane na parkowanie oraz miejsca potencjalnie mogące służyć tym celom. Są to niezbyt duże powierzchniowo tereny. Dotychczas są wykorzystywane w sposób najprostszy tj. lekko utwardzona nawierzchnia i zjazd z drogi publicznej. Terenów na nowe parkingi nie przybędzie. Ziemia drożeje. Trzeba wykorzystać mądrze to czym dysponujemy. W grę wchodzi zwielokrotnienie powierzchni do parkowania poprzez spiętrzenie. Może to być nadbudowa ponad terenem lub zagłębienie kondygnacji dodatkowej poniżej terenu. Taka propozycja budzi niepokój. Ile to będzie kosztować? Na pewno miasta na to nie stać. Miasto broni się przed tym jak może. W planie zagospodarowania "Obszaru Śródmieścia" jest zapis zobowiązujących inwestorów lokali usługowych do zaprojektowania odpowiedniej (dużej) ilości miejsc postojowych na własnej działce. Jest to warunek absurdalny nie tylko z racji szczupłości działek w śródmieściu, ale też z racji przerzucania obowiązku zaspokajania potrzeb mieszkańców przez władze samorządowe wynikający z ustawy o samorządzie terytorialnym. Taki zapis w planie zagospodarowania przestrzennego ogranicza powstawanie nowych lokali usługowych w centrum miasta ponieważ zaprojektowanie miejsc postojowych na działce ograniczone jest przepisami o odległościach od granic działki i od pomieszczeń przeznaczonych na pobyt ludzi, czyli krótko mówiąc, od budynków sąsiednich. Do usług rozmieszczonych w centrum miasta można bez większego wysiłku dojść z parkingów na obrzeżach centrum jeżeli będą one wyposażone w wystarczającą ilość miejsc. Przejdźmy zatem do konkretów.

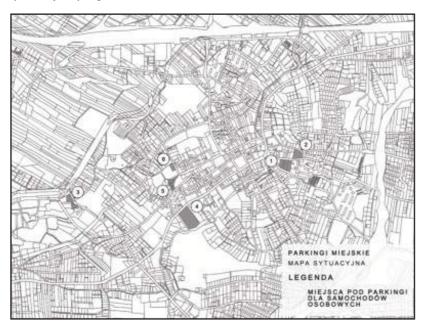
Istniejące parkingi do rozbudowy i przebudowy. Parking przy ul. Floris.

Plac ten powstał po wyburzeniu w latach 80-tych zruderowanych budynków mieszkalnych. Początkowo w latach 90-tych służył za plac targowy, bo plac Gazaris był zbyt mały dla uwolnionego handlu. Po wybudowaniu hali targowej z dwiema dobrze zorganizowanymi kondygnacjami plac przy ul. Floris okazał się niepotrzebny dla handlu. Powstał tu parking. Najprostszy jaki może być. Lekko utwardzona nawierzchnia i już. Jego powierzchnia jest dość duża. Zwielokrotnienie jej o dodatkową kondygnację lub dwie przysporzyłoby 90 miejsc dodatkowych miejsc w jednej kondygnacji. Odległość tego parkingu od rynku wynosi 215 m. Jest on na styku z rewaloryzowanym centrum.

Parking przy ul. Floris nad przychodnią zdrowia.

Plac ten jest wykorzystywany jako parking od lat 70-tych. Pod tym parkingiem jest zasypanyw początku lat 70-tych szyb Floris. Kwestia zagłębienia jednej kondygnacji w 40 letnim nasypie nie powinna budzić sprzeciwu Wojewódzkiego Konserwatora Zabytków. Pozostaje konsultacja z Urzędem Górniczym i Kopalnią Soli. Ilość miejsc postojowych na jednym poziomie wynosi 90.

Parking przy ul. Windakiewicza za cmentarzem Św. Rozalii przed nowo wybudowanym rondem istnieje od lat 80. tych. Jest obniżony w stosunku do ulicy o ponad dwa metry. Nadbudowa drugiej kondygnacji jest łatwa ze zjazdem z poziomu ulicy Windakiewicza. Liczba dodatkowych miejsc wynosi ok. 30 tylko w jednym poziomie.



Dodatkowe miejsca potencjalnie możliwe do budowy parkingów.

- Pod obecnym boiskiem sportowym. Ilość miejsc pod boiskiem szacuję na 300 do tego punktu powrócę w osobnym artykule "Boisko w centrum". (na rys. nr 4)
- nr 1 (historyczna Gimnazjum). Od strony ulicy Matejki jest wysoka skarpa, w której możliwe jest ukrycie dwóch kondygnacji garażu podziemnego. Obecny skwer został założony w latach 80-tych. Nie posiada on żadnych cech historycznych. Rodzaj i rozmieszczenie drzew są tu przypadkowe bez zamysłu kompozycyjnego. Przedtem było tu pole uprawne zaorywane co roku, ponad którym widoczne było wzgórze Uzborni. Jest to też okolica Rynku Górnego, kryjącego wiele zagadek historycznych. Wymagane jest tu dokonanie badań archeologicznych ponieważ było to centrum miasta średniowiecznego zanim powstał Rynek Dolny (obecny). Szacunkowa ilość miejsc postojowych wynosi 90. (na rys. nr 5)
- Reszta podwórza Gimnazjalnego od strony ulicy Czackiego. Jest to nasyp wykonany w XIX wieku podczas budowy Gimnazjum. Ziemia z wykopów została rozplantowana pod urządzenie boiska szkolnego funkcjonującego do połowy lat 70-tych, kiedy rozpoczęto budowę Sali gimnastycznej. Na dowód tego, że nasyp jest XIX wieczny a nie jak się uznaje pochodzący z czasów rezydowania w tym miejscu zakonu Bernardynów przytoczę dwa fakty. Pierwszy to znalezienie szkieletu ludzkiego podczas wykopów pod fundamenty i piwnicę sali na głębokości ok. 3,5 m pod powierzchnią terenu. Drugi to stara lipa wycięta, niestety ok 10 lat temu. Lipa ta miała konary o dużej rozpiętości na wysokości niecałe 1,5 m od poziomu terenu. Została ona przysypana podczas wykonywania nasypu i tylko dzięki swej sile przetrwała takie pogrzebanie w ziemi. Jest tu możliwość wykonania dwóch kondygnacji o łącznej ilości miejsc 48. (na rys. nr 6)

Uwagi techniczne.

Konstrukcja parkingu nadziemnego nie jest kosztowna. Należy ją wykonać jako szkielet żelbetowy z płytą. Nacisk jednego samochodu na płytę żelbetową jest mniejszy niż przyjmowane

obciążenie w budynkach użyteczności publicznej. Przy garażach podziemnych jest większy koszt, bo ściany należy zaprojektować z odpornością na nacisk boczny ziemi. Dochodzi jeszcze wentylacja mechaniczna i wentylacja dymowa na wypadek pożaru. Zamierzenia inwestycyjne w tej materii muszą być poprzedzone dokładnymi badaniami archeologicznymi z racji średniowiecznego rodowodu miasta oraz geologicznymi z racji kopalni soli.

Jak z powyższej wstępnej analizy wynika centrum Bochni może się wzbogacić o ok. 650 miejsc postojowych. Wymaga to zainwestowania ze strony władz miasta. Zgodnie z zasadą "partnerstwo prywatno-publiczne" można do tej inicjatywy włączyć inwestorów z poza samorządowych organizacji, lub jak sama nazwa wskazuje inwestorów prywatnych. Wymaga to inicjatywy władz samorządowych, bo bez tego żaden podmiot gospodarczy nie jest w stanie podjąć inwestycji na terenie należącym do Gminy Bochnia.

Szalety miejskie.

Nie wiem, jak ten problem był załatwiany przez władze przedwojenne. Z lekcji historii pamiętam, że Minister Sławoj Składkowski wprowadził zarządzenie o obowiązkowym urządzeniu tzw. wychodków z dołem kloacznym w każdym gospodarstwie rolnym. Było to zarządzenie bardzo potrzebne ze względu na podniesienie wymogów sanitarnych oraz kulturalno-obyczajowych. Skutek był wymuszony restrykcjami. Jak wszystko wprowadzone zarządzeniem spotykało się z oporem realizacyjnym. Sam Składkowski wspominał po latach zabawną sytuację, w której uczestniczył podczas inspekcji w jednej z polskich wsi w powiecie ciechanowskim. Gdy zapytał, dlaczego wygódka jest zamknięta, usłyszał: "Dzieckom w szkole przewrócili we łbie i nie chcą już chodzić za stodołę, ino s... we wychodku. A to musi być czysto dla komisyi. Takem zabił gwoździem i mam spokój".

W latach 50-tych XX wieku władze miasta aby mieć spokój i być w zgodzie z sanacyjnym urzędnikiem, co mogło zakrawać na protest polityczny, wybudowało podziemne szalety w Rynku pomiędzy zabytkowym budynkiem Muzeum i kamienicą XVIII wieczną. Były tam dwa wejścia w podziemie, osobne dla pań i dla panów. Całość była powiązana murem, a wejścia pod ziemię były w postaci łukowych otworów nawiązujących do

historycznej struktury zabudowy. Pomimo, że standard toalet był niski, dostosowany do możliwości technicznych epoki, szalety funkcjonowały do początku lat 90-tych. Po ich likwidacji nie powstały żadne szalety w centrum miasta, a szkoda. Uznano, że w lokalach gastronomicznych w centrum miasta jest wystarczająca ilość toalet mogąca zaspokoić potrzeby mieszkańców i turystów. Niestety życie pokazuje jak ważny jest to problem. Po otwarciu Galerii RONDO wiele lokali gastronomicznych w obrębie rynku przestało funkcjonować. Dodatkowo przebudowa rynku trwająca od 2018 roku "wyciszyła" rynek, jako centrum usług, lecz nie zahamowała potrzeb fizjologicznych osób znajdujących się w kulminacyjnej potrzebie w obrębie rynku. Potrzeba matką wynalazków. Problem niejako załatwił się sam. Skutki były widoczne pod arkadami od strony ul. Kraszewskiego. Władza znalazła na to sposób, ogrodziła tę część arkad siatką. Powtórzyło się zatem rozwiązanie problemu jak z lat przedwojennych "Takem zabił gwoździem i mam spokój".

W początkowych pracach komisji rewitalizacyjnej wskazywałem na potrzebę załatwienia tego problemu. Nie wiem jak mój wniosek został rozstrzygnięty. Czekam na efekt i kończę, bo problem jest delikatnej natury i nie wiem jak długo będzie można wytrzymać na bezdechu chodząc po rynku.

Grażyna Potępa (Bochnia)

Pomiędzy Grodnem, Warszawą a Bochnią

W 130. rocznicę urodzin i 55. rocznicę śmierci ks. Ludwika Sawoniewskiego

Przypadające w tym roku rocznice 130. urodzin i 55. śmierci ks. Ludwika Sawoniewskiego, są okazją, aby, jeszcze raz, wspomnieć grodnianina, który w 1939 r. został zmuszony do opuszczenia kochanego przez siebie miasta, aby nigdy już do niego nie powrócić.¹

Pamięć o rodzinnym mieście utrwalił w poemacie *Saga* o *Grodnie*, napisanym po wojnie. Urodził się 25 sierpnia 1891 r. w Ignatowiczach, w powiecie grodzieńskim. Po ukończeniu Szkoły Miejskiej w Sokółce, w 1910 r., kontynuował naukę w Seminarium Diecezjalnym w Wilnie, a później w Akademii Duchownej w Petersburgu. W 1915 r. przyjął święcenia kapłańskie w kościele pw. św. Kazimierza w Petersburgu. O uroczystości zawiadomił ojca mieszkającego w Ignatowiczach przez Szwedzki Czerwony Krzyż: (...) "Przed Bożym Narodzeniem wyświęcono mnie na kapłana. [...]. Prymicję odprawiłem w Piotrogrodzie, w kościele św. Kazimierza. Żałowałem bardzo, że na moich prymicjach nie było Rodziców ani krewnych, ale cóż zrobić? Taki los (...)".

Wkrótce rozpoczął pracę jako ksiądz, równocześnie kontynuując studia teologiczne. Zgodnie ze swoim przekonaniem, że "chrześcijanin świadczy wiarę nie tylko modlitwą i pokutą, ale całym swoim życiem, stosowaniem etyki i moralności w całej swej działalności społecznej i zawodowej", zaangażował się w pracę na rzecz Polskiego Towarzystwa Pomocy Ofiarom Wojny i Szwedzkiego Czerwonego Krzyża, niosąc pomoc jeńcom wojennym pracującym przy budowie kolei

ołonieckiej i murmańskiej. W następnym roku podobną posługę pełnił w Guberni Nowogrodzkiej. Razem ze swoimi kole-

gami, księżmi Michałem Klepaczem i Zygmuntem Kaczyńskim, redagował czasopismo studenckie *Gaudentia*.

W 1918 r. przerwał studia z powodu zamknięcia Akademii i jesienią wyjechał do Grodna, do odradzającej się Polski. Tu otrzymał nominację na wikariusza przy kościele farnym pw. św. Franciszka Ksawerego, po roku mianowany został prefektem szkół i rektorem grodzieńskiego kościoła filialnego pp. Brygidek. Pełnił



Ks. L.. Sawoniewski, Łódź 1947.fot. wł. pryw.

posługę kapłana, równocześnie angażując się w działalność społeczną w polskim ruchu spółdzielczym. Był redaktorem pisma *Nowe Życie* o orientacji narodowo-demokratycznej. Od

1926 r. ponownie podjął pracę w parafii pw. św. Franciszka Ksawerego w Grodnie. Schematyzm Archidiecezji Wileńskiej z 1938 r. wymienia ks. Ludwika Sawoniewskiego jako katechetę szkolnego: uczył w Szkole Powszechnej im. Stefana Batorego, w Szkole Powszechnej im. Adama Mickiewicza, na V kursie Seminarium Nauczycielskiego Męskiego przy Mostowej 3, w Państwowym Gimnazjum im. Emilii Plater, w Gimnazjum Krawieckim, w Szkole Przemysłowej, w Szkole Gospodarstwa Domowego, równocześnie pełnił funkcję kapelana Zgromadzenia Sióstr Najświętszej Rodziny z Nazaretu. Jeden z jego uczniów, Antoni Soroka z Gimnazjum im. Emilii Plater, tak wspominał później ks. Ludwika: (...) "Wszyscy lubiliśmy ks. Sawoniewskiego za jego światły umysł, głęboką wiedzę, nie tylko z zakresu teologii. Jego wykłady z zakresu teologii i filozofii życia chłonęliśmy z zapartym tchem. Był on gorącym patriotą i ten patriotyzm potrafił mam wszczepić głęboko w serce. Urozmaicał wykłady z religii tzw. faramuszkami anegdotami ze swego bogatego życia nie tylko duchowego. Nosił przezwisko "pomidor" z uwagi na czerstwą czerwoną twarz, ale to nie było złośliwe z naszej strony (...).

Jak był dobry dla swoich wychowanków-owieczek świadczyły ogromne kolejki młodzież przed konfesjonałem, w którym zasiadał. Gdy spowiadający się młodzian zaczynał wymieniać popełnione grzechy, słyszał głos ks. Sawoniewskiego: "bij się w piersi i za pokutę odmów trzy zdrowaśki (...). Tacy katecheci-wychowawcy, jak nieodżałowanej pamięci ks. Sawoniewski wszczepili w nas gorące umiłowanie ojczyzny, ukochanie swego kraju i naszego rodzinnego miasta (...)".

Kiedy 17 września 1939 r. do Grodna wkroczyli sowieci, szkoła, w której uczył ks. Ludwik została zajęta przez oddział żołnierzy; pozwolili oni kontynuować naukę. Tak wspomina ten czas Grażyna Lipińska, dyrektorka szkoły zawodowej, w której pracował ks. Sawoniewski: "W naszych szkołach tj. w Gimnazjum Krawieckim, w Szkole Przemysłowej, w Szkole Gospodarstwa Domowego i w Szkole Ogrodniczej w przeciwieństwie do innych szkół grodzieńskich panuje zupełna swo-

boda [...]. Wykorzystujemy więc każdy dzień cudem darowany. Układamy program nauczania: po kilka godzin dziennie język polski, następnie historia i geografia Polski, religia, nauka śpiewu (same pieśni religijne i patriotyczne). Ks. Sawoniewski, Marta Wimus, Anna Pietkiewicz, ja i kto może, troimy się, żeby dać dzieciom jak najwięcej wiadomości o Bogu, o Polsce, wpoić w nie wiarę w przyszłość i hart przetrwania złego (...)" (*Jeśli zapomnę o nich...*, Warszawa 1990, s. 44).

Ta względna swoboda skończyła się bardzo szybko, z chwilą, gdy w dniach 20-21 września 1939 r. do miasta wjechały sowieckie czołgi. Obronę miasta przed sowietami organizowali wiceprezydent Roman Sawicki i szef Wojskowej Komendy Uzupełnień mjr Benedykt Serafin. Z ich polecenia wykopane zostały rowy i zapory przeciwczołgowe, przeszkolono ochotników i służby pomocnicze. Grodna bronili pozostali w mieście żołnierze z rozformowanego kilka dni wcześniej 81. Pułku Strzelców Grodzieńskich im. Króla Stefana Batorego oraz oficerowie i żołnierze, którzy dotarli do miasta przypadkowo. Do walki włączyła się ludność cywilna, a zwłaszcza urzędnicy państwowi, duchowieństwo, harcerze, młodzież grodzieńskich szkół, a wśród nich uczniowie ks. Ludwika Sawoniewskiego i Grażyny Lipińskiej, która we wrześniu 1939 r. została komendantką Pogotowia Społecznego w Grodnie i współorganizatorką obrony miasta. W tym ciężkim czasie uczniowie wzorowo zdawali swój, często ostatni w życiu, egzamin z wychowania patriotycznego. Jednym z najmłodszych obrońców miasta był trzynastoletni Tadeusz Jasiński, uczeń szkoły, w której pracowali Lipińska i ks. Sawoniewski. Przejmująca historia małego bohatera, schwytanego przez sowietów, skatowanego i przywiązanego jako żywa tarcza do czołgu, opisana została w cytowanej już książce Jeśli zapomnę o nich... . Chłopiec, odbity przez Polaków, skonał na rękach matki. Za wykazane bohaterstwo podczas obrony Grodna we wrześniu 1939 r., postanowieniem Prezydenta RP Lecha Kaczyńskiego, z dnia 14 września 2009, został pośmiertnie odznaczony Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski. Miejsce jego pochówku nie jest

znane-małego żołnierza przypomina symboliczna, skromna mogiła na cmentarzu katolickim w Grodnie. Gen. Władysław Sikorski nazwał obrońców Grodna nowymi Orlętami i obiecał uhonorować miasto orderem Virtuti Militari oraz tytułem "Zawsze Wierny". Niestety tej obietnicy nie udało się spełnić. Walki w obronie tego miasta upamietnione zostały na Grobie Nieznanego Zołnierza w Warszawie napisem na jednej z tablic: Grodno 2-22 IX 1939.

Wysoką cenę za działalność konspiracyjną zapłacili nauczyciele i księża, zaangażowani w tajne nauczenie, później obronę miasta–wśród nich ks.



J. Bułhak, Grodno, pocz. XX w., reprod. Księga Kresów Wschodnich 2, nr 9(60)/2011

Ludwik Sawoniewski, jego współpracownicy i przyjaciele. Po zajęciu miasta przez Armię Czerwoną nastąpił terror, aresztowania i rozstrzeliwania, a później deportacje. Grażyna Lipińska została uwięziona w Mińsku, a kilka lat później zesłana w głąb Związku Radzieckiego. Wspomni ją ks. L. Sawoniewski w poemacie *Saga o Grodnie*:

"A szkoły dyrektorka–Lipińska Grażyna Pójdzie na lat czternaście za to obozować, Że jej to była wielka narodowa wina, Iż tak śmiała solidnie tę młodzież wychować".

Także we wrześniu 1939 r. NKWD aresztowało nauczycielkę Janinę Niedźwiecką. Początkowo więziona była w Grodnie, później zamęczona w więzieniu w Mińsku Litewskim. Do dziś nieznane jest miejsce pochówku nauczyciela

Wacława Myślickiego. Anna Kiersnowska, także nauczycielka szkół grodzieńskich, szczęśliwie ocaliła życie. Po wojnie współpracowała z księdzem Ludwikiem podczas powstawania jego poematu.

Po tych tragicznych wydarzeniach ks. Sawoniewski, zagrożony aresztowaniem, opuścił Grodno i wyjechał do Warszawy. Okoliczności tego wyjazdu, na podstawie opowieści księdza, tak wspomina jego bratanek i imiennik Ludwik Sawoniewski: "Pewnego wieczoru, gdy już w mieście panowały bolszewickie porządki [jesień 1939], nastąpiło ciche pukanie do drzwi. Mój stryj je otworzył. Przed nim stał w ubraniu milicianta sowieckiego były stróż podwórzowy [...]. Trwożnie zamknął drzwi i wszeptał: Ja księdzu radzę, żeby jutro już tu księdza nie było, bo przyjdziemy w nocy i będzie z księdzem źle. Ks. Ludwik chwycił, co było pod ręką, głównie dyplomy ukończenia szkół i przy pomocy kole-

jarzy przedostał się do stolicy." Tam nawiązał kontakt z krewną, 80-letnią Anną Sawoniewską, która udzieliła mu wsparcia, przekazała wiele ciekawych informacji o rodzinie, a także podarowała pamiątkowy 150-letni krzyż. Niestety krzyż ten spłonął w czasie powstania warszawskiego w pożarze domu przy ul. Hożej 47/22, gdzie zamieszkał ks. Sawaniewski po ucieczce z Grodna. Spłonęły także wszystkie dyplomy i dokumenty księdza. Drugą osobą, która pomogła ks. Ludwikowi, był Konstanty Mścichowski. To w jego kamienicy przy Hożej 47 ksiądz zamieszkał i pozostał tam aż do wybuchu powstania. Dzięki pomocy bp. Antoniego Szlagowskiego znalazł schronienie w parafii pw. św. Barbary i do wybuchu powstania warszawskiego pracował w należącym do parafii kościele pw. św. św. ap. Piotra i Pawła. Tam spędził całą niemal okupację, ucząc jako prefekt w szkołach: Kolejowej, Spółdzielczej oraz Miejskiej; zaangażowany był także w tajne nauczanie. Wziął udział w powstaniu warszawskim, chociaż nigdy o tym nie wspominał. W archiwach po nim zachowało się poświadczenie

ks. Stanisława Pniewskiego, z dnia 8 września 1957 r., dotyczące udziału ks. Ludwika w walkach powstańczych. Wiadomo także, że pełnił posługę kapłańską błogosławiąc plutony idące do boju i z bólem serca żegnał poległych. Po upadku powstania musiał opuścić miasto. Przeszedł przez obóz w Pruszkowie; stamtąd skierowany został do Krakowa, a później do Bochni.

W Bochni zamieszkał w domu Jadwigi Urbankowej przy ul. T. Czackiego 9. Od tego momentu zaczęła się niezwykła przyjaźń, która trwała 22 lata, aż do śmierci ks. Ludwika. Traktowany był jak członek rodziny, uczestniczył w rodzinnych uroczystościach, które później opisywał wierszem. Przebywając w domu przy Czackiego, poznał zbiory bocheńskiego historyka, regionalisty i malarza Stanisława Fischera. Perspektywa przeniesienia ich do powstającego muzeum wywołała w nim pewne obawy, czemu dał wyraz w liście z 14 czerwca 1958 r.: "Wiadomość atoli o przewiezieniu Jego muzeum

do gmachu państwowego wywarła na mnie przykre wrażenie. Mimo to należy przyznać, że zbiory w ten sposób będą miały nadal potrzebną opiekę i będą służyły ku większemu pożytkowi szerszej publiczności." Zaprzyjaźniony z Fischerem zgodził się pozować do portretu. Ponieważ w tym czasie mieszkał już w Łodzi, w jednym z listów do Bochni (10.10.1947 r.) pisał: "Panu Profesorowi wkrótce poślę mały obstalunek na pewien portret." W zbiorach rodziny zachowało się zdjęcie z 1947 r., wykonane w Łodzi w zakładzie fotograficznym Władysława Kamińskiego, z zamiarem przesłania go Stanisławowi Fischerowi, który miał malować portret księdza.

W Bochni spotkał wysiedlonych z Warszawy, a pochodzących tak jak on z Kresów, Jadwigę i Hipolita Budrewiczów oraz Walentynę Dobkiewicz i jej córkę Wandę. Wnet po przyjeździe do naszego miasta podjął pracę w kościele św. Mikołaja. Póź-

niej w listach pisanych z Łodzi wspomina bocheńskich księży: proboszcza ks. Władysława Kuca, ks. Antoniego Czaplińskiego, ks. Stanisława Białkę, ks. Stanisława Muchę, ks. Stanisława Biedrońskiego. Szczególnym szacunkiem darzył ks. Walentego Gadowskiego i jego najczęściej wymienia w korespondencji. Jednym z ministrantów, którzy usługiwali mu do mszy św., był pochodzący z Czortkowa Mikołaj Wakalski. Do 1946 r. ks. Ludwik pracował jako katecheta w bocheńskim Liceum Ogólnokształcącym. Wśród jego uczniów byli: Jerzy Katlewicz i Franciszek Korta, (później proboszcz w Złotej); w listach wspomina Ninkę Skoczylasównę i panią Skoczylasową, wdowę po zamordowanym w Katyniu płk. Szymonie Skoczylasie. Po niespełna dwóch latach ks. Sawoniewski został zwolniony z pracy w szkole z powodu "zbyt religijnego wychowywania młodzieży".

Chociaż nadal mieszkał w gościnnym domu przy ul. T. Czackiego, to zapewne poszukiwał miejsca, gdzie mógłby pracować jako ksiądz i katecheta. Za pośrednictwem PCK



Saga o Godnie - okładka

nawiązał kontakt z bratankiem, swoim imiennikiem Ludwikiem Sawoniewskim, a także z przyjacielem ks. Franciszkiem Patynowskim mieszkającym w Łodzi. W 1946 r., za namową ks. kanonika Patynowskiego, wyjechał do Łodzi i tam podjął pracę wikarego przy parafii pw. Najświętszego Serca Pana Jezusa i Świętej Marii Małgorzaty Alacoque. Zamieszkał przy ul. Zgierskiej 121. Z czasem powrócił do ulubionego przez siebie zawodu katechety. Prowadził lekcje religii w XII Gimnazjum Państwowym przy ul. E. Orzeszkowej 31, w szkołach w Julianowie (osiedle na Bałutach) i Chojnach (osiedle w południowej części Łodzi). W tym czasie lekcje religii odbywały się jeszcze w szkołach. Definitywnie usunięto je stamtąd w 1961 r., kiedy to Sejm PRL uchwalił ustawę o rozwoju systemu oświaty i wychowania. Od tego czasu nauka religii prowadzona była w salach katechetycznych przy parafiach. Pomimo wielu zajęć znajdował czas na działalność społeczną, angażując się w prace łódzkiej Caritas.

Nigdy nie zapomniał o przyjaciołach, którzy w Bochni okazali mu pomoc i życzliwość. W okresie od czerwca 1946 do października 1963 r. napisał do Jadwigi Urbankowej i Wandy Kobielowej ok. 200 listów, początkowo ręcznie, później na maszynie. Większość z nich zachowała się w zbiorach rodzinnych. W pierwszym liście z Łodzi z dnia 14 czerwca 1946 r. adresowanym do J. Urbankowej pisze:" O Bochni wspominam często z prawdziwym utęsknieniem. J. Wielmożnej Pani Profesorowej i Państwu Kobielom przesyłam najgłębsze podziękowania za okazaną mi pomoc w mojej tułaczce i za atmosferę prawdziwie polskiego domu, z której tak hojnie korzystałem. "

Jak trudne było dla niego rozstanie z Bochnią dowiadujemy się z kolejnego listu z 21. X 1946 r.: "Należę do tych szczęśliwców, czy może nieszczęśliwców, którzy mało płakali w życiu, chociaż różne przechodziłem koleje, a jak Pani wie, trzykrotnie byłem rujnowany. Nie płakałem nawet, gdy opuszczałem Warszawę, chociaż wielu ludzi płakało. Gdy zaś opuszczałem Bochnię, to łzy, nieposłuszne memu usposobieniu, wygnały mnie pospiesznie na stację, że nie mogłem pożegnać się z miłymi sąsiadami. A i tu nieraz ciche łezki ronię, gdy wspominam Bochnię. Odpowiadając na ten dopisek Pani, również miałem do czynienia z chusteczką, czego wcale nie żałuję." Zawsze później będą go cieszyły i wzruszały listy z Bochni, za którymi bardzo tęsknił. Pisał:

"Dom Wasz staje mi przed oczy Jako żywo we wspomnieniach Często myśl tam moja kroczy Czy na jawie czy w marzeniach."

Listy te stanowią pewnego rodzaju kronikę wydarzeń z pierwszych dwóch lat po wojnie. Skomentował na przykład podaną w prasie łódzkiej informację o wybuchu niewypałów w Bochni w dniu 17 października 1946 r.:

"Katastrofa w Bochni była Strachu w serce mi nagnała W Łodzi prasa tak głosiła, Że już Bochnia w gruzach cała. Smutna widać jest Wygoda Po tym strasznym min łoskocie Taka w Polsce teraz moda. Życie wszędzie na wylocie."²

Nowa powojenna rzeczywistość sprawiła, że stracił kontakt z najbliższymi. Jego rodzinne Ignatowicze, po ustaleniu nowej granicy na Bugu, znalazły się na terytorium Białoruskiej Republiki Radzieckiej. O wyjeździe tam nie mogło być mowy, z czasem udało się ks. Ludwikowi nawiązać kontakt korespondencyjny z rodziną brata. Niestety listy przychodziły rzadko i były kontrolowane przez służby bezpieczeństwa. Tęsknota i niepokój o bliskich towarzyszyły księdzu do końca życia, pociechą okazali się przyjaciele z dawnych lat, którzy po wojnie, podobnie jak ks. Ludwik, trafili do Łodzi. Jedni przebywali w niej czasowo, inni pozostali na stałe. Z zachowanej korespondencji wynika, że wśród znajomych byli m.in.: prof. historii Ludwik Bazylow, ks. Zygmunt Dobrski, śpiewak radiowy Jan Ciżyński, Anna Kiersnowska. Serdeczny przyjaciel, ordynariusz łódzki biskup ks. Michał Klepacz, wystarał się w 1962 roku dla ks. L. Sawaniewskiego, w uznaniu zasług, o nominację na Szambelana Tajnego Jego Świątobliwości Papieża Jana XXIII. Tytuł ten łagodził trudną i przykrą dla ks. Ludwika sprawę, jaką było wymuszone przez władze komunistyczne tzw. ślubowanie", które musieli składać księża na wierność PRL.

W listach pisanych do przyjaciół w Bochni coraz częściej skarżył się na kłopoty ze zdrowiem. Nękały go różne choroby, z powodu których 22 maja 1966 r. został umieszczony w szpitalu w Radogoszczu. 24 maja udzielono mu Sakramentu Chorych, wówczas był jeszcze przytomny. Ciężką ręką uczynił znak krzyża i zmarł. Przeprowadzenie zwłok ze szpitala do kościoła parafialnego NSPJ nastąpiło 26 maja o godz. 18.00. Następnego dnia o godz. 17.00 odbyły się nieszpory żałobne i msza św. Ks. L. Sawoniewski został pochowany na cmentarzu św. Rocha przy ul. Zgierskiej w Łodzi. W pogrzebie wzięli udział ks. bp. Jan Kulik, Bogdan Bejze oraz ks. prałat (NSPJ) Franciszek Gwoździcki, wikariusz katedralny ks. Franciszek Kowalski, ks. Edmund Mirowski (proboszcz w Łobudzicach). Wykonawcą testamentu był ks. Franciszek Kowalski i to on właśnie dokumenty, listy i maszynopisy przekazał bratankowi księdza Ludwika, również Ludwikowi Sawoniewskiemu.

Na płycie nagrobnej napisano:

"Nieście Krzyż Pański Smutkiem przepełniony Może on sprawi, że z Grodna tułacze Znowu swe strony zobaczą. "

Jest to tekst częściowo zaczerpnięty z *Epilogu* napisanego przez bratanków księdza, Ludwika i Leonarda Sawoniewskich i dedykowany stryjowi. Zamieszczony został w drugim, rodzinnym wydaniu *Sagi o Grodnie*:

"A gdy już ruszy kondukt żałobny Nieście Krzyż Pański w smutek zasobny, Może to będzie mój rodzinny znak, Co mnie prowadził przez życiowy szlak. On tylko sprawi, że z Grodna tułacze Znowu swe strony zobaczą."

Pozostała po nim pamięć przyjaciół w Bochni, grób na cmentarzu w Łodzi i poemat *Saga o Grodnie* zrodzony z tęsknoty za rodzinną Ziemią Grodzieńską, którą ks. Ludwik uważał za swą małą ojczyznę. Do pisania wspomnień o latach

spędzonych w Grodnie namówił go, mieszkający w Łodzi Edgar Peszke, współpracownik z tygodnika Nowe Zycie z czasów grodzieńskich. W jednym z listów z 1954 roku, ks. Ludwik zwierzał się przyjaciołom: "Chodzi mi po głowie pomysł napisania historii ziemi grodzieńskiej, naszego ukochanego Grodna, ukazania ludzi, ich czynów i dokonań, które sprawiły, że Grodno, choć powiatowe, było znaczącym ośrodkiem życia kulturalnego i nie tylko. Grodnianie w godzinie próby wykazali się bezprzykładnym bohaterstwem i przywiązaniem do Polski, swojej Ojczyny. To nie może być zapomniane. Trzeba ratować naszych kochanych ziomków od plagi ludzkiego zapomnienia. Czy Bóg da siły?" Ksiądz Ludwik bardzo solidnie przygotowywał się do pracy nad poematem. Zapoznał się ze Wstępem do nauki o literaturze Stefanii Skwarczyńskiej, przez wiele lat gromadził materiały, wspomnienia, prowadził korespondencję, także ze St. Fischerem, którego prosił o książki zwłaszcza dotyczące historii Jaćwingów. Cenne informacje o grodnianach przekazała księdzu nauczycielka Anna Kiersnowska, współpracująca z nim w czasach grodzieńskich. Niezwykle zaangażowany w pomoc przy pisaniu poematu był pochodzący z Grodna Józef Tołłoczko, mieszkający po wojnie w Warszawie, a także inni grodnianie m.in. Antoni Patla, Stanisław Ostrowski, Maria Bakanowicz.

Saga o Grodnie, powstała między 1957 a 1963 rokiem. Utwór składa się z dwóch części: pierwsza poświęcona jest mieszkańcom Grodna z okresu międzywojennego, druga dotyczy najdawniejszych czasów miasta. Poemat pisany jest nieregularnym trzynastozgłoskowcem, a jego rękopis znajduje się w zbiorach Zakładu Teorii i Antropologii Literatury Filii Uniwersytetu Warszawskiego w Białymstoku. Autor wymienia ok. 200 nazwisk osób związanych z Grodnem, m.in.: o. Maksymiliana Kolbe, ks. Henryka Hlebowicza, Ignacego Wołłejkę (ojca popularnego niegdyś aktora Czesława), Hankę Ordonównę, prezydentów miasta, lekarzy, historyków, archiwistów, nauczycieli, adwokatów, kupców. Planowana była część trzecia, dotycząca kolejnego pokolenia grodnian. Ks. L. Sawoniewski nie doczekał wydania Sagi drukiem. Dwa tygodnie przed śmiercią, bardzo już chory, przekazał swoją ostatnią wolę, dotyczącą poematu, bratankowi. Prosił, aby wszelkie uwagi naniesione w maszynopisie były dokładnie uwzględnione w druku. Pierwsze wydanie, w opracowaniu zbiorowym pod redakcją Elżbiety Feliksiak, ukazało się dopiero w 1994 r., w Białymstoku, w serii Biblioteka Pamięci i Myśli. Wydawcą było Towarzystwo Literackie im. Adam Mickiewicza. Drugie wydanie nakładem rodziny ukazało się w 1999 r., również w Białymstoku.

Szósty rozdział w pierwszej części *Sagi o Grodnie* dedykował Jadwidze Urbankowej z Bochni, jako wyraz wdzięczności za okazaną mu pomoc w trudnych chwilach życia:

"Odcinek szósty Sagi szczęśliwie skończony, Tron w nim mają poeci i berło pisarze. I Pani Urbankowej w Bochni poświęcony: Za współczucie dla Grodna niech dzięki okażę. Przedziwnie Dobra Pani, jakże to się stało, Że gdy Grodno rozpacza, Pani jest zmartwiona, Nic bowiem Grodno z Bochnią wspólnego nie miało, Pani jednak wspólnotą bólu nasycona."

Poemat ks. Ludwika Sawoniewskiego zna, jak sądzę, nieliczne grono czytelników. Większość wśród nich stanowią zapewne Kresowiacy związani z Ziemią Grodzieńską, a tych z każdym rokiem jest coraz mniej. Utwór ten jest wspaniałą galerią przeszło dwustu postaci związanych z tym miastem. Autor wymienia osoby, które swoim życiem i działalnością tworzyły obraz Grodna w dwudziestoleciu międzywojennym, ale też wspomina zwykłych mieszkańców nadniemeńskiego grodu, których nazwiska, profesje niewiele dziś mówią współczesnemu czytelnikowi. Z czasem odeszłyby w zapomnienie, gdyby nie ciekawa, napisana w języku białoruskim, publikacja grodzieńskiego historyka Andrieja Czarniakiewicza, byłego pracownika Państwowego Uniwersytetu Grodzieńskiego -Pamięć Grodna. Materiały do biograficznego słownika postaci międzywojennego miasta 1919-1939. Autor, zainspirowany poematem ks. Ludwika Sawoniewskiego, wykonał ogromną pracę, prowadząc kwerendy w archiwach w Grodnie i Wilnie, przeglądając prasę i mnóstwo opracowań, w tym różne słowniki biograficzne. Słownik wydany w Grodnie w 2015 r. liczy 305 stron i zawiera biogramy przeszło dwustu osób związanych z tym miastem w okresie międzywojennym.3

W większości są to bohaterowie poematu ks. Ludwika Sawoniewskiego.

Przypisy:

¹ Wspomniane na wstępie rocznice, oraz nowe informacje dotyczące ks. Ludwika Sawoniewskiego skłaniają nas do ponownego przypomnienia osoby tego serdecznego przyjaciela Bochni. Zob. G. Potępa, *Ks. Ludwik Sawoniewski z Grodna (1891–1966)*, *Wiadomości Bocheńskie*, zima 2012/2013 nr 4 (95).

² O wybuchu wojennych niewypałów zob. St. Kobiela, Wielki wybuch na Wygodzie, Wiadomości Bocheńskie nr 2 (105)/2015).

³ W książce Andrieja Czerniakiewicza oprócz ks. Ludwika Sawoniewskiego wymienione są jeszcze dwie osoby zwiazane z Bochnią: Leopold Okulicki (1898–1946)–późniejszy generał, wówczas w stopniu kapitana, był w latach 20-tych oficerem sztabu Dowództwa Okręgu Korpusu nr III w Grodnie, Jan Rataj (1889-1959)–legionista, major WP, dr praw, senator V kadencji Senatu II RP. W latach 1919-1939 w Grodnie był radcą prawnym wydzialu powiatowego i sejmiku grodzieńskiego oraz szefem referatu prawnego przy Dowództwie Okręgu Korpusu nr III w Grodnie. Zmarł w Bochni 31 października 1959 r. i tu pochowany na cmentarzu przy ul. Orackiej.

Grażyna Potępa jest byłym pracownikiem Muzeum w Bochni im. St. Fischera. Interesuje się historią regionalną, a tematyka kresowa zajmuje szczególne miejsce w jej pracy. Badała losy bochnian, którzy po I wojnie zasiedlili polskie Kresy, a po 17 września 1939 r. byli represjowani, więzieni w łagrach, zamordowani lub zaginieni, a ich rodziny w kolejnych falach deportacji wywiezione były na Syberię, do Kazachstanu czy Uzbekistniu lub w inne miejsca na "nieludzkiej ziemi". Była współautorką (obok Janiny Kęsek) wystawy prezentowanej w 2007 r. w Muzeum w Bochni, a poświęconej udziałowi bochnian w Armii gen. W. Andersa. Podjęła temat repatriantów ze Wschodu osiadłych po 1945 r. w Bochni.

Zajmowała się powstaniem Armii gen. Andersa, jej losami i udziale bochnian w II Korpusie WP.

Władysław Kopacz

W bombardowanym Berlinie

Władysław Kopacz urodził się 1 września 1921 r. w Dołuszycach, w wielodzietnej rodzinie. W 1938 r., tak jak wcześniej, jego starszy brat Antoni, wstępuje do Szkoły Podoficerskiej Piechoty Nr 2 w Śremie dla Małoletnich. Rok później, 1 września 1939 r. naukę w SPP dla Małoletnich, ale w Nisku, miał rozpocząć młodszy brat Jan. Od 1-22 września 1939 r. Władysław Kopacz broni Lwowa przed Niemcami i Sowietami. Wzięty do niewoli, ucieka sołdatom przed Kijowem i 27 listopada wraca do rodzinnego domu w Dołuszycach. Po aresztowaniu ojca Stanisława przed kopalnią w Bochni, Władysław Kopacz postanawia zniknąć z Dołuszyc. Za namową poznanego oficera w Krakowie, zgłasza się na ochotnika na roboty do Niemiec, żeby zbierać tam informacje potrzebne dla podziemia niepodległościowego. W listopadzie 1943 r. jest w Berlinie i tak to opisuje:

Berlin już od tygodnia jest bombardowany bez przerwy, rano, wieczorem, w południe i nocą, jakby z zegarkiem w ręku. Legerführer ogłasza, kto na ochotnika pojedzie do odgruzowania? Zebrało się około trzydziestu Polaków. Ostatnie dni listopada 1943 r. zastały nas na przedmieściach Berlina, koło Stadionu Olimpijskiego. Pełno gruzów, mijaliśmy wiele ulic. Wszędzie rumowiska i dogasające ognie. Berlińczycy z naszej firmy Herman, Wili i Maks dobierają sobie po kilku naszych ludzi i idą porządkować swoje domy. Mietek Orel góral z Nowego Sącza i ja mamy naprawić dach uszkodzony podczas nalotu. Z góry widzimy całą rozległą okolicę i rozmieszczenie działek przeciwlotniczych. Około godziny pierwszej w południe znowu nalot, a my na dachu. Mietek zwraca się do mnie: "Zostajemy tu". I kładzie się pod świetlik. Jak mamy żyć, to przeżyjemy, a co zobaczymy, to będzie nasze. Przeciągły ryk syren alarmowych. Bombowce lecą na południe od nas. Już za późno, aby zejść do schronu. Strzelają działka przeciwlotnicze i cekaemy. Nagle od jednego bombowca odrywają się maleńkie punkciki i lecą prosto na nas. Modlimy się, na chwilę zamykamy oczy i czekamy. A tu nic. Bomba coraz większa i większa, dalej leci na nas, po chwili znika nam z oczu i słychać potężną detonację. Rąbnęła w sąsiednią kamienicę. Nagły wstrząs, kurz szum w uszach, nic nie widzimy. Co się stało, dokładnie nie wiemy. Czy lecimy do góry, czy też opadamy. Uderzają nas odłamki po nogach, po głowie, po całym ciele. Pył gryzie w nosie, zatyka oddech. Po kilku minutach pytam Mietka: "Zyjesz"? "Zyję" odpowiada. Nie poznajemy siebie. Jesteśmy przysypani pyłem, papą, kawałkami blachy i licho wie, czym jeszcze. Leżymy. Po odwołaniu alarmu, gdy chcemy zejść z dachu kamienicy, nie ma już schodów, podłoga pochyła, szpary w ścianach, wszędzie coś trzeszczy, sypie tynk, lecą cegły. Zwołują się koledzy. W termosach mamy zupę, z wrażenia mało kto chce jeść. Koło nas stoi młoda Niemka z dwójką wystraszonych dzieci... Kobieta ze łzami w oczach dziękuje. Koledzy pukają się w głowę: Zwariowałeś! Szkopom dajesz zupę! I zostawiają mnie samego. Chodzę po Reichstrasse spotykam Polaków z zakładów Siemensa-Schukerta. Kopią płytkie rowy. Będą nocować na tym skwerze. Ja robię to samo, bo gdzie mam

iść? W tym dołku usnąłem. Zbudził mnie nocny alarm. Syreny dłużej wyją. Będzie ciężki nalot. Widzę teraz z bliska wiązki słupów reflektorów i gra już artyleria przeciwlotnicza. Widać błyski rozrywających się pocisków. Nadlatują bombowce już je słychać. Reflektory wymacały amerykańską superfortecę. Biją do niej wszystkie działa. "Sukinsyny"! Spada tak dziwnie i za chwilę słychać potężny wybuch. Wstrząs, jakby trzęsienie ziemi, chociaż nikt z nas tak naprawdę nie wie, jak to trzęsienie ziemi naprawdę wygląda. Setki a może tysiące wybuchów. Pół kilometra dalej dzieje się ten straszliwy odwet. Ogień wyczuwamy już dobrze, jest coraz cieplej. Dym gryzie w oczy i coraz ciężej oddychać. Jedna bomba upadła niebezpiecznie blisko. W parę sekund później.... Cóż to? Ziemia się usunęła, czy niebo spadło na nas? Zołądek się podnosi, to znów płuca chce rozerwać, nie ma czym oddychać. Leci mi na plecy ziemia i gruz. Cały podskakuję do góry, a przecież leżę, to ziemia tak się podnosi. Niech wreszcie się to skończy. Rano widzimy ogrom zniszczeń. Trudno poznać, czy to ta ulica? Wczoraj jeszcze była. Nie poznaję-to nie ta. Nie wiem, co mam ze sobą zrobić, gdzie iść. Nie ma gdzie się umyć. Wracam do swoich,już są, nocowali parę kilometrów za Berlinem. Mietek Orel mówi do mnie: "Chodź zobaczymy wczorajsze dzieło". Bomba dużego kalibru upadła na tory kolejowe, w pobliskiej kamienicy na wysokości pierwszego piętra widać wbite między oknami koła lokomotywy. Ulice zasypane gruzem. Samochód, którym przyjechaliśmy stoi koło Siegessaule na Grosser Stern. I znowu koło południa ten krótki, przerywany głos syren zapowiadający, że za 15 minut bombardowanie. I już alarm. Ryk syren. Bombowce są nad zachodnim Berlinem. Widzimy je dokładnie. Czujemy pobliskie wybuchy. Coraz więcej i więcej. Samoloty lecą prosta na nas. Schować się nie ma gdzie. Byle za cokolwiek, tylko z której strony drzewa? Gdzie upadnie bomba? Wybuch za wybuchem. Silny wiatr rwie po spodniach, niektórzy się już przewracają. Wtem coś gorącego uderza mnie w nogi i wlecze po bruku. Ściana. Głową uderzam w mur. Ziemia się urwała i ucieka gdzieś w przestrzeń. Nagle potworny podmuch wymiata mnie spod muru. Znów huraganowy wiatr. Utrata pamięci. Gorąco, bardzo gorąco, aż parzy. Powoli huragan przechodzi. Z wielkim trudem wstaję. Nikt nikogo nie poznaje. Ale żyjemy. Cała ulica w gruzach i w ogniu. Słychać wołania o pomoc: Hilfe! Hilfe! Biegniemy w głąb ulicy. Nagle... Chryste! Ktoś wypycha przez okno od piwnicy małą dziewczynkę. Pali się. Ma nie więcej, jak cztery lata. Chcemy to dziecko wyciągnąć z ognia. Pali się jej rączka, a ona nawet nie płacze, tylko uśmiecha się do nas. Przez czapkę chwytam ją. Prawa ręka odpada od ciała. Po chwili kona na rękach kolegi, Serba (nazwiska nie pamiętam). Nagle krzyk-Uciekać! Uciekać! Runęła ściana kamienicy. Serb odskoczył szczęśliwie, dziecko przygniótł ceglany gruz. Biegniemy do następnej kamienicy i odwalamy gruz od okienka piwnicznego. Kilof nic nie waży, taki wydaje się lekki. Robimy przekop do okienka. Jeszcze trochę gruzu i wreszcie mur. Poszerzamy otwór. Niemcy wołają: Jest tam kto? Słychać cieknącą wodę z pękniętych rur wodociągowych. Do środka wszedł Serb.

Mówi, że jest dużo dzieci. Żyją! Żyją! Szybko powiększamy otwór. Serb ponagla nas. Woda podnosi się błyskawicznie. Podaje nam dziecko, po dziecku. Woda sięga już niektórym maluchom po szyję. Po chwili mówi, że nie sięga nogami do ziemi–tyle wody. Podaje ostatnie dziecko, pół żywe. Jeszcze zanurkował, szukał dalej. Wyciągamy go za ręce w ostatniej chwili. Serb wychodzi . Klnie na cały świat i Niemców. Stara Niemka mówi, że uratowaliśmy 37 dzieci. Policjant notuje nasze nazwiska.

Po wielu latach po wojnie, byłem w Karkonoszach, na Śnieżce. Co mnie tam zawlekło, do tej pory nie wiem. W pewnej chwili zauważyłem, że przygląda mi się jakaś młoda kobieta. Podchodzi i po niemiecku pyta–Czy podczas wojny

w 1943 roku byłem w Berlinie? Odpowiedziałem—Tak, w listopadzie 1943, podczas alianckich nalotów. A czy pamięta pan taką zalaną piwnicę? Odpowiedziałem—Tak—Nigdy jej nie zapomnę. Wyciągnęliśmy z kolegami około 37 dzieci ... To ja byłam jedną z tych uratowanych. Poznaję pana . Uratował mi pan życie. GOTT SEI DANK.

Zamieszczony tekst pochodzi z książki Władysława Kopacza *Terra Incognita 1945-Wspomnienia pioniera*. Książka ta jest w archiwum–Stowarzyszenia Bochniaków i Miłośników Ziemi Bocheńskiej.

Tekst przygotował do druku i poprzedził wstępem syn Autora Woytek Kopacz.

Ewelina Mroczek

Pamięć i edukacja

W Publicznej Szkole Podstawowej w Jodłówce (gm. Rzezawa) 14 czerwca br. odbyła się 4 Edycja Powiatowego Konkursu Historycznego "Rotmistrz Witold Pilecki–Bohater, dla którego nie istniały granice poświęcenia i odwagi".

Do testu konkursowego przystąpiło 17 uczniów z wyższych klas 10. szkół podstawowych z powiatu bocheńskiego: Bochnia–nr 2 im. Kazimierza Brodzińskiego, nr 5 im. Jana Matejki, nr 7 im. Jana Pawła II; Brzeźnica–im. Jana Kochanowskiego; Jodłówka–im. Rotmistrza Witolda Pileckiego; Nieszkowice Małe–Zespół Szkół Gminnych im. Jana Pawła II; Okulice–Publiczna Szkoła Podstawowa im. Leopolda Okulickiego; Pogwizdów–im. gen. Józefa Bema; Stary Wiśnicz–im. Jana Pawła II; Zbydniów–im. Św. Jana Pawła II.

Test zawierał 51 pytań z zakresu: biografia, działalność patriotyczna i polityczna, zasługi oraz współczesna ocena Bohatera. Wyniki "Konkursu" świadczą o bardzo dobrym przygotowaniu się wszystkich uczestników do rywalizacji. Wyróżniono dyplomami:

I miejsce-Krzysztof Sroga (Okulice),

II miejsce-Jakub Gicala (Jodłówka),

III miejsce-Julia Tylek (nr 2 Bochnia) i Alicja Zelek (Brzeźnica).

Laureatom i pozostałym uczestnikom wręczono nagrody,

a Szkołom Dyplomy Uczestnictwa (na ręce obecnych nauczycieli historii z w/w szkół).

Należy podkreślić sympatyczną atmosferę i sprawną organizację tego wychowawczego i edukacyjnego przedsięwzięcia przez panie Wandę Jantę i Magdalenę Pawulską oraz serdeczność powitania zebranych przez Dyrektorkę Szkoły panią Lidię Pawlik. Organizatorem konkursu jest działające w Jodłówce od kilku już lat wespół ze Szkołą, Społeczne Stowarzyszenie "Moc Radości". Nagrody ufundowały: Fundacja Polskiej Agencji Rozwoju Przemysłu, Instytut Pamięci Narodowej oddział w Krakowie i Starostwo Powiatowe w Bochni.

W bieżącym spotkaniu, IPN reprezentował pan dr Michał Wenklar, Starostwo pan Ireneusz Sobas. a Stowarzyszenie Bochniaków i Miłośników Ziemi Bocheńskiej prezes Zofia Sitko i wiceprezes Ewelina Mroczek.

Szkoła w podbocheńskiej Jodłówce już w 2011 roku uczyniła swoim patronem Rotmistrza Witolda Pileckiego sławionego w Hymnie Szkoły, opracowanym przez Bogdana Kasprowicza i Stanisława Domańskiego. Pozostaje też w przyjacielskich kontaktach z rodziną swego Patrona, córką i synem–Pileckimi. Od lat organizuje lekcje patriotyzmu w różnych formach, również sportowych. W tym roku

wybrano znamienną datę–14 czerwca – Dzień Narodowej Pamięci Ofiar Niemieckich, Nazistowskich Obozów Koncentracyjnych i Obozów Zagłady.–W tym dniu, 81 lat temu, przywieziono "pierwszy transport" do KL Auschwitz. Była to represjonowana, patriotyczna młodzież z Tarnowa.



Uczestnicy IV Edycji Powiatowego Konkursu Historycznego, laureaci oraz komisja konkursowa, fot. za FB PSP w Jodłówce

Małgorzata Śliwa

"Z miłości do Ojczyzny"

W przeprowadzonym przez Oddział Instytutu Pamięci Narodowej–Komisja Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu w Krakowie Historycznym Konkursie Tematycznym "Polscy żołnierze w obronie wolnego świata 1939-1940" wzięło udział dwóch uczniów Szkoły Podstawowej nr 2 im. Kazimierza Brodzińskiego, Dominik Jeziorek i Bartosz Król.

Ci młodzi ludzie zainteresowali się najnowszą historią Polski, ze szczególnym uwzględnieniem okresu II wojny świa-



Dominik Jeziorek i Bartosz Król, laureaci konkursu. Fot. M. Śliwa

towej i zmagań o niepodległość w latach 1939-1940. Źródłem inspiracji i wiadomości w pisaniu prac konkursowych okazał się lokalny kwartalnik *Wiadomości Bocheńskie*, na łamach którego natrafili na ciekawe historie, prezentujące uczestników walk z okresu II wojny światowej związanych z naszą małą Ojczyzną. To właśnie pan Marian Drożdż i Stefan Paweł Pałczyński stali się bohaterami ich prac. Wsparciem dla uczniów okazała się redaktor *Wiadomości Bocheńskich* pani Janina Kęsek. Jej

wiedza, wskazówki i porady pozwoliły na dogłębne zbadanie tematu, dotarcie do osób posiadających informacje na interesujący młodych ludzi temat.

Wysiłek się opłacił, chłopcy dotarli do etapu wojewódzkiego. Dominik Jeziorek uzyskał tytuł laureata a Bartosz Król finalisty Historycznego Konkursu Tematycznego "Polscy żołnierze w obronie wolnego świata 1939-1940". Nie byłoby to możliwe bez wsparcia i pomocy, jaką otrzymali ze strony wielu osób, którym należą się szczególne podziękowania: pani Janinie Kęsek, panu Marianowi Drożdżowi (jednemu z bohaterów pracy, dziś liczącemu sobie ponad 100 lat), pani Renacie Jonak z Nowego Winicza oraz Panu Władysławowi Krawczukowi z Warszawy.

Gratulujemy naszym zwycięzcom wyników i życzymy dalszych sukcesów. Wspaniale, że młodzi ludzie chcą poznawać i przekazywać innym historię naszej małej Ojczyzny i osób z nią związanych.

KRONIKA

STOWARZYSZENIA BOCHNIAKÓW I MIŁOŚNIKÓW ZIEMI BOCHŃSKIEJ

10 kwietnia pod pomnikim Ofiar Zbrodni Katyńskiej, jak co roku, składane były kwiaty i zapalane znicze. Nasze Stowarzyszenie reprezentowali: prezes Stowarzyszenia Zofia Sitko oraz członek Zarządu Krystyna Janus.

W 230 rocznicę

Trzeci Maj-dla Polaków znaczy narodowe starania o skuteczną i dobrą reformę państwa w nowoczesnym duchu oświeceniowych ideałów polityczno-ustrojowych i społecznych. Reforma w postaci aktu prawnego nazwanego "Konstytucją", uchwalonego w Warszawie 3 maja 1791 r. przez Sejm Wielki jako "Ustawa Rządowa", miała wesprzeć palącą wówczas konieczność ratowania Rzeczypospolitej zagrożonej w swym państwowym bycie. Idea ta stanie się przesłaniem i drogowskazem dla kolejnych patriotycznych pokoleń. Dlatego pamięć Konstytucji 3 Maja trwa do dzisiaj mimo, iż zawsze była zwalczana

przez wszystkich przeciwników i wrogów państwowości polskiej.

Włączając się w ogólnopolskie obchody Majowego Święta, w bocheńskich kościołach odprawiono uroczyste nabożeństwa. W bazylice mniejszej pw. Św. Mikołaja (godz. 10.30) po wysłuchaniu uroczystej Mszy Świętej i odśpiewaniu wzruszającej w swej patriotycznej wymowie pieśni A. Felińskiego "Boże coś Polskę przez tak liczne wieki otaczał blaskiem potęgi i chwały...", w obecności zgromadzonych obywateli miasta, delegacje władz miejskich i powiatowych na czele z burmistrzem Bochni panem Stefanem Kolawińskim tradycyjnie złożyły kwiaty pod marmurową tablicą pamięci Gen. Jana Henryka Dąbrowskiego—Bohatera tamtego czasu: wodza w Powstaniu Kościuszkowskim, założyciela i Naczelnika Legionów Polskich doby napoleońskiej, w których powstała, nieprzemijająca do dzisiaj, pieśń "Jeszcze Polska nie umarła, kiedy my żyjemy." nazwana Mazurkiem Dąbrowskiego.

Tablicę ufundowało społeczeństwo naszego powiatu przeszło 100 lat temu–Dla pamięci wydarzeń oraz zasług i rodzinnych związków z ziemią bocheńską - Generała.

Spotkanie autorskie on-line.

30 marca br. w połączeniu przez sieć internetową zorganizowanym przez Stowarzyszenie Bochniaków odbyło się spotkanie: z autorką książki pt. *Córka, która sprzedała matkę* panią Ireną Powell, z tłumaczką z języka angielskiego na jęz. polski panią prof. Elżbietą Tabakowską oraz komentatorką i recenzentką dr Małgorzatą Majewską z katedry psychologii UJ w Krakowie. Kontakt nawiązała Zofia Sitko prezes Zarządu Głównego Stowarzyszenia Bochniaków i Miłośników Ziemi Bocheńskiej i prowadziła rozmowę on-line. Spotkanie otwo-

dowską rodzinę: matkę i córkę.

Książka jest w ciekawej konwencji literackiej, niemal autobiograficzna, chociaż nie napisana przez główną bohaterkę Sarę lecz jej córkę Irenę–na co wskazuje tytuł. Przedstawia czas Holocaustu w Polsce przez dramat przeżyć matki ratującej córkę od nieustannie grożącej im śmierci w warunkach skazania na zagładę całej żydowskiej społeczności–Zagładę

rzył pan Sławomir Wojtoń-tu przedstawiciel rodziny Rynca-

rzów i Wojtoniów z Borku/Bochni ukrywających niegdyś ży-

ni(!), a następnie do podbocheńskiej wsi Borek k/Rzezawy. Psychiczny ciężar przeżyć determinuje życie całej rodziny i po wyzwoleniu. Naznacza to życie już na zawsze, chociaż-

zrealizowaną z okrutną i bezwzględną konsekwencją. Ucieczka

przed śmiercią zaprowadziła rodzinę do m.in. getta w Boch-

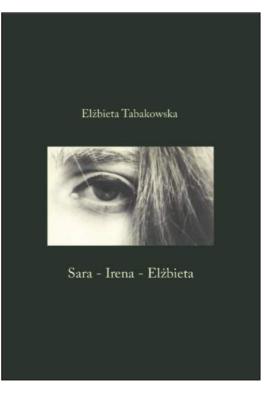
by wciąż powracającymi przypomnieniami, skojarzeniami, lękiem i jakąś potrzebą mówienia o tym. Również dziecku. "Przeszłość żyła na co dzień w ich domu" powiedziała Irena. Zaś częsta zmiana miejsc pobytu–wydaje się być kontynuacją ucieczki.

Interesująca historycznie i psychologicznie opowieść na tle czasów II Rzeczypospolitej, okupacji sowieckiej i niemieckiej w Polsce oraz realiów Polski Ludowej. Nie odpowiada jednoznacznie na pytanie. Czy należy mówić dzieciom o złej przeszłości?

Pełna transmisja spotkania dostępna na naszym kanale na YouTube.

EM





RI

ARTYSTOKRACKI ZNÓW NA SCENIE

Dnia 19.06 odbyła się prapremiera autorskiego spektaklu Teatru Artystokrackiego pt.: "Furor Poeticus".

Twórczyniami scenariusza są dwie jego aktork–Wiktoria Gałka i Martyna Strach. Reżyserią zajęła się Zofia Sitko, założycielka teatru oraz w/w scenarzystki.

"Bohaterowie lektur spotykają się na corocznym zjeździe literackim zwanym maturą. Zdecydowaliśmy, że przyda się im dodatkowe spotkanie"–tak opisuje sztukę jedna ze scenarzystek. I to właśnie w te 14 postaci wcielili się nasi młodzi aktorzy. Każdy z nich przyznał, że zagranie tak znanych osób jak: Stanisław Wokulski, Lady Makbet, czy Konrad Wallenrod było dla nich sporym wyzwaniem. Jednocześnie już na scenie można było zobaczyć, że każdy z nich włożył w swoją role całe serce.

Sam spektakl był pomieszaniem komedii, powieści obyczajowej i kryminału.

Jak publiczność zareagowała na spektakl? Wnioskując po owacjach na stojąco i bardzo przychylnych recenzjach można stwierdzić, że pozytywnie. Jeden z widzów wręcz porównał go do dzieł Agathy Christi. Teatr wciąż otrzymuje zapytania, kiedy planuje powtórzyć spektakl.

Aktorzy jednak, chociaż są bardzo dumni ze swojej pracy, nie spoczęli na laurach. Już teraz biorą się do pracy i szlifują wszystkie niedociągnięcia, aby we wrześniu do murów oratorium powrócić ze zdwojoną siłą i zachwycić widownię. Oprócz tego planują kolejne wydarzenia, które uatrakcyjnią życie mieszkańcom Bochni i okolic.

W spektaklu udział wzięli: Adamczyk Angelika, Ciejak Julia, Fischer Agnieszka, Aleksandra i Maciej, Fruga Zbigniew, Gałka Wiktoria, Gudanek Armando, Jeziorek Dominik, Owczarek Jakub, Pach Maksymilian, Rojek Klaudia, Sak Klaudia, Sitko Mateusz, Stasto Jakub Tomir, Strach Martyna, Szewczyk Sebastian, Waskowicz Julia, Wątorski

Marcin, Załupski Patryk; przy fortepianie Jerzy Florkowski, sufler Daniel Grzesik, plakat Olga Płaczek, reklama Maksymilian Truś

Zachęcamy do śledzenia profilu Teatru Artystokrackiego na mediach społecznościowych: Facebook, YouTube i Instagram. Jednocześnie zachęcamy do bacznego przyglądania się okolicy, bo nigdy nie wiadomo, czy zza winkla nie wyskoczy Zosia Soplica, Stańczyk, Matejkowie czy jakaś inna znana postać, która będzie promować działalność tych młodych pomysłowych ludzi.



PLENER MALARSKI

W dniach 25 i 26 czerwca 2021 roku odbył się plener malarski zorganizowany przez Stowarzyszenie Bochniaków i Miłośników Ziemi Bocheńskiej. Udział w nim wzięło dziesięciu artystów oraz lokalnych twórców z terenów ziemi bocheńskiej. Byli to: Oliwia Burst, Adam Libera, Ewa Komusiewisz, Kinga Magdoń, Mirosław Malaca, Janusz Możdżeń, Urszula Dyląg-Putowska, Paweł Putowski, Krzysztof Staśto, Agnieszka Wojas, wymienieni uczestnicy odpowiedzieli na zaproszenie do wydarzenia. Artyści malowali obrazy w technice olejnej na terenie Bochni, głównie na ulicach zrewitalizowanych. Stworzone dzieła będzie można obejrzeć na wystawie poplenerowej, której wernisaż odbędzie się 10 lipca na terenie tężni solankowej. Podczas wernisażu odbędą się warsztaty plastyczne dla zainteresowanych osób.

W ramach programu "Kulturalna od-nowa", plener wraz z wystawą został dofinansowany przez Gminę Miasta Bochnia w kwocie 4 tyś. złotych.

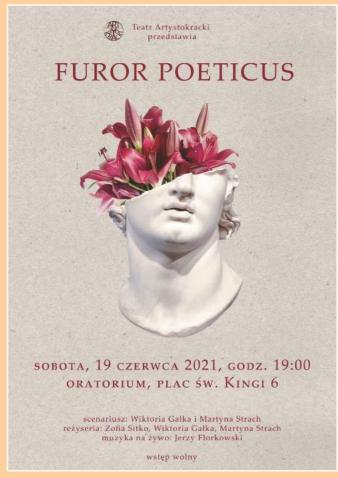
Paweł Putowski-komisarz pleneru, Członek Zarządu SB i MZB



Spis treści nr 3/2021 "Wiadomości Bocheńskich"

- 1. Święty Szymon z Lipnicy Murowanej Naszą nadzieją w ciężkich czasach pandemii-Jacek Nikorowicz (Kraków)s. 2 2. Majówka na Uzborni-Janina Kęseks. 7 3. Artysta malarz Franciszek Krudowski (1860-1945) Opracowano na podstawie materiałów udostępnionych przez Panią Aleksandrę Wróblewską z Krzesławics. 9 4. Miasta mojego dzieciństwa Brzesko, Okocim, Bochnia- Jan Pinowski (Warszawa)s. 11 5. Z Bochni do Birmingham cz. 3-Z Włoch do Anglii-Nichola Lawton (Raye, Wielka Brytania)s. s. 20 6. Zbigniew Drzewiecki-Okruchy z historii muzyki-Marta Czerewko (Bochnia) s. 18 7. "A Polska powinna trwać wiecznie, wiecznie..." Wincenty Witos-Anna Szewczyk (Bochnia) rozmawia
- 9. Pomiędzy Grodnem, Warszawą a Bochnią. W 130. rocznice urodzin i 55. rocznice śmierci ks. Ludwika
- rocznicę urodzin i 55. rocznicę śmierci ks. Ludwika Sawoniewskiego-Grażyna Potępa (Bochnia) s. 33 10. W bombardowanym Berlinie- Władysław Kopacz
- 10. W bombardowanym Berlinie- Władysław Kopacz (1921-1996)s. 28
- 11. Pamięć i edukacja-Ewelina Mroczeks. s. 39
- 12. Z Miłości do Ojczyzny-Małgorzata Śliwas. s. 40
- 13. KRONIKAs. 40

Na okładce: Sanktuarium pw. św. Szymona, wzniesione w latach 1636-1648 w miejscu rodzinnego domu św. Szymona, fot. S. Mróz





Plakat wg projektu Olgi Płaczek

Fot. M. Truś



Plener malarski w Bochni 25 czerwca 2021 r. Od lewej stoją: Zofia Sitko, Mirosław Malaca, Paweł Putowski, Wiktoria Gałka, Zbigniew Fruga i Oliwia Burst, fot. O. Płaczek

Podczas pleneru malarskiego na ulicach miasta pojawiły się postaci, znane z obrazów, a też i sami mistrzowie pędzla np. Jan Matejko z żoną Teodorą. W postacie te wcielili się aktorzy Teatru Artystokrackiego.



Stworzenie Stańczyka: Stańczyk-Jakub Tomir Staśto i Jan Matejko-Zbigniew Fruga, fot. W. Gałka



Stańczk-Jakub Tomir Staśto, fot. W. Gałka





Paweł Putowski i Janusz Możdżeń podczas pleneru, fot. M. Więcek-Cebula